EPOKA

ROK V. Warszawa, 15 lipca 1938 r. Nr 20 (123)

Treść:

Szturm do kościoła

św. Jacka

W ostatnich dniach zdarzył się w Warszawie wypadek zgoła niezwykły. Oddajmy, dla opisania go, głos Katolickiej Agencji Prasowej: „W niedzielę, 3 b. m., gdy ksiądz Tadeusz Puder, rektor kościoła Św. Jacka w Warszawie, zbliżał się w **komży i w stule do ambony podczas sumy, by wygłosić kazanie,** jakiś osobnik dopadł z tyłu księdza i dwukrotnie uderzył go, wołając: „to jest Żyd!... „Jak informuje dalej również katolicka „Nowa Rzeczpospolita", ks. Puder zamroczony osunął się z nóg i upadł. Mamy więc — o ile się nie mylimy — drugi wypadek napadu na księdza w czasie nabożeństwa w kościele.

Wypadek jednak zupełnie inny. Tam w Luboniu, tło sprawy pozostało do końca niejasne. Nic nikomu nie wiadomo, by ktokolwiek kiedykolwiek przedtem judził właśnie przeciwko ks. Streichowi, pożałowania godnej ofierze półobłąkanego zamachowca. Prokurator nie znalazł wtedy podstaw do wytoczenia sprawy komukolwiek poza Nowakiem. Nie mamy powodu dawać więcej wiary „narodowym" deklaracjom lubońskiego szaleńca przed sądem, niż jego rzekomemu komunizmowi, głoszonemu urbi et orbi przez prasę endecką i endekoidalną. Jedyne znaczenie polityczne, jakie posiadała zbrodnia lubońska, to — nieudane zresztą — próby ubicia z niej kapitału politycznego przez różne reakcyjne ugrupowania.

Sprawa ks. Pudra przedstawia się inaczej. Niewątpliwie, mniej tragicznie. Chodzi przecież o kilka uderzeń, nie o życie ludzkie. Ale równocześnie znaczenie jej polityczne jest o wiele większe. Co prawda, i tutaj chodzi, zdaje się, o biednego szaleńca. Ale — i tu właśnie tkwi polityczne znaczenie sprawy! — Michalski nie działał sam. Katolicka „Nowa Rzeczpospolita" pisze wyraźnie: **„Mamy tu do czynienia ze zorganizowanym napadem, którego technikę wypracowano drobiazgowo, przydzielając zbirowi odpowiednią „pomoc". To nie odruch szaleńca, lecz na zimno obmyślona i wykonana zbrodnia".** A katolicki krakowski „Głos Narodu" precyzuje: „Napad w kościele Św. Jacka nie był jedynym wyrazem rasistowskiej nienawiści do tego księdza. Poprzedziła go nieprzytomna nagonka, prowadzona w paru pisemkach warszawskich i interwencja pewnej delegacji u ks. arcybiskupa warszawskiego, by ks. Pudrowi cofnął kierownictwo kościoła Św. Jacka".

Wiadomo, co to za „pisemka", wiadomo, co to za delegacja. Wiadomo, że hasło do nagonki dał „Merkuriusz Polski Ordynaryjny", że sprawą interesowały się szczególnie ‚ABC" i „Goniec", że delegacja pochodziła z kół jednego z Oenerów. Wiadomo, że jednym z pośrednich czy bezpośrednich inspiratorów nagonki na terenie parafii był poprzedni rektor tej parafii, ks. Trzeciak, osławiony agitator wszelkich Oenerów. Wiadomo, że to ks. Trzeciak namawiał ministrantów, by „nie służyli do mszy Żydowi", że zapowiadał, iż nikt nie będzie przychodził do kościoła na „te żydowskie kazania". I tak się jakoś dziwnie składa, że to właśnie ks. Trzeciak był uczestnikiem kongresu erfuckiego „Weltdienstu", centrali wywiadowczej Trzeciej Rzeszy, że właśnie „ABC" podało najobszerniejsze w Polsce sprawozdanie z tego kongresu, i że właśnie jeden z czynniejszych odłamów Oeneru zawarł pakt sojuszu i przyjaźni z p. Codreanu, zdemaskowanym w międzyczasie jako płatny najemnik hitlerowskich Niemiec.

Ciosy w chwili wahania.

Kler polski i znaczna część episkopatu zajmowały dotąd wobec tendencji wszelkiego autoramentu rasistów polskich stanowisko raczej przychylne, w najlepszym razie neutralne. Czy trzeba przypominać działalność arcybiskupa Teodorowicza, któremu sam papież musiał nakazać wycofanie się z życia politycznego, biskupa Łukomskiego, czy metropolity Sapiehy? Czy mamy mówić o wielu, aż nazbyt wielu księżach, stanowiących, niestety, kadry endeckich agitatorów? Nie chodzi nam w tej chwili o wytaczanie oskarżeń. Chodzi o stwierdzenie faktu:ruch endecki i oenerowski, wyhodowany ongi pod opieką kleru, od chwili gdy popadł w zasięg wpływów ideologii hitlerowskiej, zaczyna dyktować klerowi swoją wolę. Nie znaczy to, iż staje się wprost w pełni antykatolicki. Polska to nie Niemcy. U nas w kraju katolickim, faszyzm nie może zrezygnować z żerowania na uczuciach religijnych, z togi „obrońcy wiary". Ale jedyny katolicyzm, jaki faszyzm może tolerować, to katolicyzm à la Salazar, katolicyzm à la kardynał Goma, katolicyzm kapelanów milicji faszystowskiej. Wszystko inne, to judaizanctwo, jeśli nie wprost „Żydokomuna".

Są w obozie katolickim siły, które by na to chętnie poszły. Niektóre nazwiska wymieniliśmy wyżej. Jest „Mały Dziennik", osobliwe pismo katolickie, które zbagatelizowało napad na księdza w stule i komży, podczas nabożeństwa. Są rozmaici hitleryzanci z „Pax" wileńskiej, różni księża Pawscy i nie-Pawscy. Jest stara tendencja hierarchii kościelnej do sojuszu z wszelką reakcją, zastarzała niechęć do demokracji, grożącej „bezbożnictwem" i „masońśtwem". Są wreszcie, roztaczane szeroko przez totalistów, miraże absolutnego rządu dusz w stotalizowanej Polsce, sprowadzenia innowierców i dyssydentów do poziomu z przed trzech wieków, wytępienie wszelkich zarodków swobody myślenia. Jest unia personalna znacznej części hierarchii z wielkim ziemiaństwem, ośrodkiem totalistycznej reakcji w Polsce. Takie nazwiska dostojników, jak Sapieha, Szeptycki mówią wiele. Nie jest rzeczą przypadku, że kierownikiem grupy „Katolicko-Narodowej" w Sejmie jest obszarnik Zaklika, nie zaś, powiedzmy, nieco zbliżony do ludowców ks. Lubelski.

Wszystko to prze katolicyzm polski w kierunku faszyzmu i totalizmu, mniejsza już czy w „Ozonowo"-sanacyjnym, czy w endeckim wydaniu.

Ale katolicyzm polski jako całość jeszcze się nie zdecydował. Nominacja ks. Pudra, odesłanie ks. Trzeciaka gdzieś na prowincję, przyjazne stosunki kół kościelnych z demokratycznym — mimo wszystko! — Stronnictwem Pracy, głośny artykuł ks. Brossa przeciwko gen. Franco w poznańskiej „Kulturze" — wszystko to świadczy, że decyzja jeszcze nie zapadła, że ośrodki kierownicze katolicyzmu polskiego jeszcze się wahają. I w tej właśnie chwili wahania przychodzi napad w kościele św. Jacka. Ciosy padły na ulicy Freta w Warszawie, ale wymierzone były zdaleka. Zadała je ta sama ręka, która w Hiszpanii gen. Franco zabrania odczytywania encyklik papieskich, która kilka dni zaledwie temu, posłała w Stuttgarcie pod topór katowski katolickiego działacza związkowego, Steibla.

Nacisk podstępny na hierarchię.

Niektóre organy prasowe widzą w tym zamachu dowód, że drogi hierarchii kościelnej i totalizmu wszelkiego typu rozeszły się w Polsce definitywnie. Zdaje się nam, że to przesadny optymizm. Zamach w kościele św. Jacka, to nie wypowiedzenie wojny. Przemawia przeciwko temu cała reżyseria zamachu: posłużenie się szaleńcem, na którego można zrzucić odpowiedzialność za wszystko, szybkie wycofanie się reszty uczestników zamachu, brak jawnego przyznania się do „akcji" ze strony którejkolwiek z grup oenerowskich. Nie! Chodzi o co innego: o próbę nacisku na hierarchię, by się wreszcie wypowiedziała ostatecznie po stronie endo-oenero-sanacyjnego totalizmu. Chodzi o próbę zagrożenia jej „buntem owieczek", zagrożenia jej jakimś „kościołem narodowym", jakąś polską „Deutsche Glaubensbewegung". Zagrożenia bynajmniej nietylko po przez „Falangę", „Kraka" czy inny odprysk O. N. R-u. Groźba ta wychodzi — zaznaczmy to dobitnie — z całego obozu endeckiego. To właśnie w staroprofesorskiej „Myśli Narodowej", właśnie umiarkowany p. Kozicki wskazuje ostatnio, jako na odrodziciela Francji ruch nacjonalistyczny, „którego najsilniejszą częścią jest nacjonalizm integralny grupy „L'Action Française", grupy wyklętej przez Papieża. Ta groźba buntu może jednak być skuteczna. Groźba taka bywa niekiedy skuteczna. Czy nie czytaliśmy w pismach katolickich, że właśnie groźbą takiej, na wielką skalę zrealizowanej schizmy skłoniono kardynała Innitzera do swoistego typu „katolickiej" „religji rasy, krwi i ziemi"? Groźba ta może być szczególnie skuteczna, gdy towarzyszą jej równocześnie cenne obietnice na wypadek uległości. Niewątpliwie, totalizm polski, zależny ideologicznie od pp. Goebbelsa i Rosenberga, będzie obiektywnie antykatolicki, sprzeczny z duchem choćby ostatnich enuncjacji papieskich. Ale czy nie jest z nim sprzeczną, tolerowana przecież przez Watykan, polityka kardynała Gomy i kardynała Innitzera? Totalizm polski, totalizm w kraju katolickim, będzie gotów do wielu ustępstw formalnych, terminologicznych na rzecz hierarchii, jeśli tylko ona udzieli mu wzamian swego faktycznego poparcia.

Jeżeli hierarchia dotąd się waha, jeśli dotąd widzimy wyraźną dwoistość w jej postępowaniu, to niewątpliwie poważną tu rolę przypisać należy naciskowi Watykanu. Kuria Rzymska o wiele lepiej, niż inne ośrodki, orientuje się w ideologicznej — a niekiedy nie tylko ideologicznej — zależności niektórych odłamów polskiego „nacjonalizmu" od Berlina, Mekki nie tylko Faszinternu, ale i wszelkiego typu wyznawców Wotana czy Światowida. Watykan obawia się, że totalizm polski, oddzielony tylko granicą od Niemiec, w swej polityce religijnej imać się będzie niemieckich wzorów. Watykan nie che, by obok shitleryzowanego już w pełni Kościoła hiszpańskiego stanął równie shitleryzowany Kościół polski. Watykan liczy się z następstwami, jakie tego rodzaju zwrot wywołać musi w krajach demokratycznych: w Ameryce, Francji i Anglii. Już obecnie, wskutek popierania gen. Franco, rośnie np. w takiej Anglii niechęć do katolicyzmu.

Dobitne ostrzeżenia milionów wierzących.

Nie mniej poważną rolę w rozważaniach hierarchii odgrywa niewątpliwie fakt, że miliony wierzących katolików polskich znajdują się w obozie demokratycznym i boleśnie odczuwają zaangażowanie się bodaj części kleru po stronie faszyzmu. Z kół bardzo oddanych Kościołowi, niewątpliwie katolickich działaczy, ze szpalt wybitnie katolickich organów, padły właśnie w ostatnich tygodniach bardzo dobitne ostrzeżenia pod adresem faszyzującej części kleru.

Na odbytym ostatnio Zjeździe Chrześcijańskich Związków Zawodowych Pomorza wielu delegatów skarżyło się na działalność niektórych księży, zalecających

endecką „Pracę Polską", popierających łamistrajków i innych szkodników ruchu robotniczego. Wśród oklasków zebranych, delegat warszawskiej centrali oświadczył: „O ile w Polsce nie mają powtórzyć się zbrodnie hiszpańskie, musi duchowieństwo polskie pamiętać o potrzebach materialnych biednego ludu, nie zaś o polityce i ziemskich zaszczytach". Te słowa padły bynajmniej nie na zjeździe „bezbożnych" klasowców, lecz na kongresie Chrześcijańskich Związków Zawodowych, nie w „czerwonej" Dąbrowie, ale w pobożnej, spokojnej Bydgoszczy!

Omawiając to niezwykłe oświadczenie, „Gazeta Grudziądzka", organ poznańsko-pomorskiego, a więc raczej umiarkowanego skrzydła Stronnictwa Ludowego skarży się na „niektórych księży, którzy pałają poprostu nienawiścią do wszystkiego, co tchnie ideą ludową. Ci dążenia chłopów do politycznej wolności nie wahają się nazwać komunizmem i to nawet z ambony". I pismo pyta: „Czyż nie mogą biednemu ludowi wpaść jakieś szalone myśli i zamiary do głowy, jeżeli, walcząc o prawa dla siebie, czy to w dziedzinie gospodarczej, czy też politycznej na każdym kroku napotyka na wrogów, wśród których wybitną rolę nieraz odgrywają księża?... Tak się niestety składa, że za winy kilku duchownych pociąga się do odpowiedzialności wszystko, co do Kościoła należy". Znowu: słowa te znajdujemy w artykule wstępnym pisma, na którego nagłówku widnieją hasła „Za Wiarę i Ojczyznę", „W Imię Boże", w artykule, w którym składa się równocześnie zapewnienie synowskiej wierności dla Kościoła.

Hierarchia nie może poprostu zlekceważyć tych głosów. Reprezentują one miliony wiernych, z których nastrojami hierarchia liczyć się musi i — jak wskazuje jej stanowisko chociażby po wypadkach sierpniowych ub. r. — liczy się rzeczywiście. Mauriac pisał niedawno o Hiszpanii: „Wynikło tu straszliwe nieszczęście, że dla milionów Hiszpanów chrześcijaństwo i faszyzm stanowią obecnie całość i że, nienawidząc jednego, muszą nienawidzieć i drugiego". Solidaryzowanie się z totalizmem w chwili, gdy miliony chłopów polskich demonstrują pod sztandarem demokracji, grozi stworzeniem w Polsce sytuacji hiszpańskiej.

Toteż hierarchia stara się jak najdłużej utrzymać, póki to tylko jest możliwe, w postawie wyczekującej, nie zrywać z obozem demokracji, ale nie wchodzić też w konflikt z faszystami, tolerować działalność Trzeciaków i równocześnie pozwalać na święcenie ludowcowych sztandarów. Ale wywołuje to zniecierpliwienie wśród faszystowskiego odłamu kleru, wywołuje groźby endeków i endeko-idów, rodzi sytuacje poważne, jak ostatni szturm do kościoła Św. Jacka. Coraz jednak wyraźniejszym staje się, że hierarchia będzie musiała zdeklarować się jasno i dobitnie. Kardynał Goma czy kardynał Verdier, kardynał Innitzer czy kardynał Faulhaber — oto dylemat polskiego katolicyzmu.

Jeżeli mówimy: zdeklarować się, nie myślimy bynajmniej oświadczenia się kościoła po stronie jakiejkolwiek partii politycznej. Przeciwnie, sądzimy, zgodnie z listem papieża do episkopatu meksykańskiego, pisanym w 1936 r., że Kościół powinien „nie wiązać się z żadną partią polityczną, by nie dawać przeciwnikom pozoru łączenia religii z jakimś kierunkiem politycznym". Chodzi właśnie o odgrodzenie Kościoła od działalności pewnej określonej partii politycznej, o uniemożliwienie pewnemu kierunkowi politycznemu podszywania się pod religię.

Jeżeli pragniemy, ażeby ostateczna decyzja polskiej hierarchii kościelnej padła właśnie w tym kierunku, po linii francuskiej, a więc po linii kard. Verdier i kard. Baudrillart, to przyznajemy, że chodzi nam przede wszystkim o dobro demokracji polskiej, o dobro Rzeczypospolitej! Bo wiemy, że wielu maluczkich może ulec łatwiej faszystowskiej zarazie, gdy ją będzie szerzył pod osłoną wiary i powołując się na swą suknię duchowną agitator polityczny typu ks. Trzeciaka czy ks. Niteckiego.

Ale wiemy także, że pragnienia nasze zbiegają się równocześnie z istotnym interesem Kościoła. Bo nie jest z korzyścią dla kościoła, ażeby miliony wiernych widziały w nim sojusznika partii politycznej, wrogo nastawionej wobec ludu polskiego, z pasją przekreślającej tradycje polskiej wolności, — partii, duchowo spowinowaconej z antykatolickimi ideologami Trzeciej Rzeszy.

P. Limagne, jeden z redaktorów „La Croix", naczelnego organu katolicyzmu francuskiego, pisząc niedawno w „Nowej Rzeczpospolitej" przepowiadał Kościołowi francuskiemu osiągnięcie wielu ważnych zdobyczy **„jeżeli Kościół nieugięcie zachowa swe obecne stanowisko wobec zakusów totalitarnych"**. To samo, zdaniem naszym, można powiedzieć i o kościele w Polsce.

J. WĘGLIŃSKI.

Zachód mówi o Wiedniu

Podajemy wyciąg z obszernego artykułu londyńskiego „Times"a o Żydach w Austrii. Przypominamy, że „Times" jest organem zbliżonym do premiera Chamberlaina, uchodzącym za filo-germański. Przypominamy również, że władza „Gestapo" rozciąga się nie tylko na Żydów austriackich, że brutalność siepaczy hitlerowskich spada nie mniejszym ciężarem na katolików i socjalistów, na wszystkich przeciwników totalizmu niemieckiego.

Wielki dziennik angielski daje wyraz odrazy wobec przejawów barbarzyńskiego antysemityzmu i piętnuje praktyki brunatnych zgraj, przewyższających w swym metodycznym okrucieństwie praktyki czarnych sotni z czasów caratu.

Demokracja polska, piętnując wraz z całym cywilizowanym światem te wiedeńskie sabatowe tańce wyznawców Wotana, piętnuje jednocześnie faszyzm, jako system tyranii, oparty na bezprawiu i będący zaprzeczeniem ideałów człowieczeństwa.

EPOKA.

We władzy Gestapo.

W pośrodku wiedeńskiego starego miasta znajduje się na jednym z placów napis „Judenplatz", a na ulicy obok napis „Judengasse". Fala „aryzacji" nie dotknęła tego zakątka ghetta, pochodzącego z XVII w. Tu żyje dotąd stara dzielnica żydowska, ze starą synagogą i biurami gminy żydowskiej. Kilka kroków zaledwie stąd znajduje się główna Geheime Staats - Polizei — znana pod popularną nazwą Gestapo, — która zajęła miejsce dawnej Św. Inkwizycji w życiu t. zw. Ostmark.

To tu, w hotelu Metropol, decyduje się los Żydów wiedeńskich. To stąd płynie potok nakazów aresztowania, nakazów „aryzacji", nakazów wygnania. To stąd wychodzą ze strachem przyjmowane wezwania. Przedstawiciele żydowscy mogą chodzić na ratusz, do burmistrza, przestrzegającego dawnych, uprzejmych i tolerancyjnych tradycji starego Wiednia. Mogą pójść na słynny Ballhausplatz, do biur namiestnictwa. Ale cokolwiek im tam powiedzą, Gestapo pozostaje jedyną władzą, decydującą brutalnie o ich losie. A celem Gestapo jest zupełnie pognębienie ludności żydowskiej.

Społeczeństwo żebraków.

Od r. 1933 Rzesza stawiała żydom alternatywę: unicestwienie lub emigracja. Ale przecież zachowywano pewne granice przyzwoitości: pozwalano im przygotować się do wyjazdu, zabrać ze sobą pewną część ich własności, żyć w ograniczonych ramach zawodów handlowych, na które im zezwolono.

W Austrii i Wiedniu wola zniszczenia nie została zahamowana choćby przez pozory przyzwoitości i człowieczeństwa. Takiej orgii znęcania się nad Żydami Europa nie widziała od najciemniejszych dni średniowiecza. W carskej Rosji gromiono Żydów. Ale w czasie od pogromu do pogromu mogli zarabiać na życie. We Wiedniu wykluczono ich nagle z wszelkiej działalności gospodarczej. Zamieniono ich nagle w społeczeństwo żebraków.

Od chaotycznego plądrowania do zorganizowanego rabunku.

Bezpośrednio po wmarszu „Nazi" przyszedł okres fizycznego znęcania się, publicznego upokarzania, rabunku w biały dzień. Kobiety i mężczyzn pędzono do szorowania ulic i koszar szturmówek. Mieszkania żydowskie plądrowano. Właścicieli sklepów i różnych przedsiębiorstw zmuszano do odstępowania ich „Aryjczykom" za grosze. Wreszcie władze „Nazi" doszły do przekonania, że tego rodzaju znęcania się i grabieże na własną rękę demoralizują grabieżców nie mniej od grabionych. Okres pierwszy został zakończony.

Rozpoczął się okres drugi: okres systematycznego i ciągłego podtrzymywania paniki wśród całej ludności żydowskiej. Wytyczne tego okresu sformułował premier Goering oświadczając, że Żydzi muszą być usunięci z Wiednia w ciągu 4 lat. Sądząc po postępowaniu władz, termin ten został skrócony do czterech miesięcy.

Dziesiątki Żydów wyrzucono natychmiast z pracy. Wszystkie ważniejsze przedsiębiorstwa żydowskie oddano pod zarząd „aryjskich" komisarzy na takich warunkach, że właściciel jest szczęśliwy, gdy może je sprzedać za jakąkolwiek cenę. Jeśli opiera się mimo to, aresztuje się go pod jakimkolwiek zarzutem — albo bez zarzutu i — trzyma tak długo w najcięższych warunkach w więzieniu, dopóki nie podpisze, że rezygnuje z całej swej własności i zobowiązuje się „dobrowolnie" opuścić kraj w ciągu dwóch tygodni lub miesiąca. O wyrafinowanym cyniźmie prześladowców niech świadczy fakt, że Żydom każe się płacić za farbę użytą do oznaczania ich sklepów jako żydowskie.

Bezpodstawne aresztowania.

Najstraszniejszą panikę wśród ludności żydowskiej wywołują ciągłe aresztowania. Aresztuje się bez podania powodów, bez sformułowania oskarżenia. Co dzień i co nocy zabiera się kobiety i mężczyzn, starych i młodych, z domów i z ulic i odwozi się jednych do więzień austriackich, drugich zaś do Dachau i innych obozów koncentracyjnych w Rzeszy. Niema w Austrii ani jednej rodziny żydowskiej, któraby nie miała jednego albo nawet kilku ze swych bliskich w więzieniu. Można sobie wyobrazić, jaki stan przygnębienia i beznadziejności panuje w tych rodzinach.

Od czasu do czasu podaje się nowy motyw prześladowań: raz jest to bojkot towarów niemieckich w Stanach Zjednoczonych, drugi raz sympatie mocarstw zachodnich dla Czechosłowacji. Ale za każdym razem bezbronni Żydzi austriaccy stają się kozłem ofiarnym nagromadzonej nienawiści „Nazi", nienawiści, która dotąd nie znalazła nasycenia.

Ofiarą tej nienawiści nie padają bynajmniej tylko bogaci Żydzi. Teror nazistowski gnębi „małych ludzi", robotników, rzemieślników, lekarzy, pracowników umysłowych żydowskich, których tylu było we Wiedniu.

Nieśmiertelna deklaracja i niewygasłe hasła

Święto narodowe Francji jest świętem demokracji. Szturm ludu paryskiego na Bastylię przeszedł do historii jako akt wielkiego triumfu wolności i jako symbol niechybnego zwycięstwa sprawiedliwości nad światem, prawa nad tyranią, heroizmu rzesz pracujących nad nikczemnością despotów. Przez całe dziesięciolecia trójkolorowy sztandar wielkiej Republiki francuskiej był w Europie znakiem wolności, równości i braterstwa, był przedmiotem bezsilnej nienawiści w obozie gnębicieli, wsteczników i wrogów ludu. W heroicznych dniach rewolucyj francuskich 1789-93, 1830, 1848 i powstań polskich 1794 i 1830 roku, w legionach Dąbrowskiego, w braterstwie Wielkiej Emigracji z demokracją francuską, w testamencie Kościuszki, Kołłątaja i Jasińskiego, Lelewela, Heltmana i Mickiewicza zawarty jest uroczysty pakt przyjaźni i wzajemnej pomocy między narodem polskim i francuskim. Żadne kuszenia wrogich obu narodom potęg reakcyjnych, nie zdołają ostudzić polsko - francuskiej **entente cordiale.** Żad-

ne wysiłki najbardziej nawet wpływowych czynników antydemokratycznych, poparte najbardziej hałaśliwą propagandą przeciwfrancuską, nie zdołają skruszyć w sercach polskich nagromadzonego w nich przez półtora wieku złoża płomiennej, wiernej, niespożytej przyjaźni dla Wielkiej Demokracji francuskiej. Żadne knowania i kombinacje jawnych lub zakapturzonych wielbicieli hitleryzmu w Warszawie i Wilnie nie zdołają odwrócić wzroku polskiego z nad Sekwany ku Sprewie. To zapewnienie należy się demokracji francuskiej od demokracji polskiej w dniu burzenia Bastylii. Należy się narodowi francuskiemu od narodu polskiego w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa.

Z DEKLARACJI PRAW

NATURA STWORZYŁA LUDZI WOLNYMI I RÓWNYMI...

KAŻDY CZŁOWIEK PRZYNOSI NA ŚWIAT NIEODŁĄCZNE OD SIEBIE PRAWA NATURALNE. SĄ TO: WOLNOŚĆ MYŚLI, NIETYKALNOŚĆ CZCI I EGZYSTENCJI, PRAWO DO POSIADANIA PRYWATNEJ WŁASNOŚCI, WOLNOŚĆ OSOBISTA, WOLNOŚĆ PRACY, WOLNOŚĆ STAWIENIA OPORU GWAŁCICIELOM PRAWA.

PRAWA NATURALNE CZŁOWIEKA NIE MAJĄ OKREŚLONYCH GRANIC, PRÓCZ TYCH, KTÓRE SŁUŻĄ ZABEZPIECZENIU TAKICHŻE PRAW INNYM CZŁONKOM SPOŁECZNOŚCI.

ŻADEN CZŁOWIEK NIE MOŻE BYĆ ZMUSZONY DO PODPORZĄDKOWANIA SIĘ PRAWOM, NA KTÓRE NIE WYRAZIŁ ZGODY OSOBIŚCIE LUB ZA POŚREDNICTWEM WYBRANYCH PRZEZ SIEBIE PRZEDSTAWICIELI...

WŁADZA NAJWYŻSZA NALEŻY DO NARODU.

JEDYNYM ZADANIEM KAŻDEGO RZĄDU JEST DOBRO POWSZECHNE, W KTÓREGO INTERESIE LEŻY WYRAŹNE ROZGRANICZENIE WŁADZY USTAWODAWCZEJ, WYKONAWCZEJ I SĄDOWEJ ORAZ TAKA TYCH WŁADZ ORGANIZACJA, KTÓRABY ZABEZPIECZAŁA UDZIAŁ OBYWATELI W STANOWIENIU O SPRAWACH PAŃSTWA, ODPOWIEDZIALNOŚĆ URZĘDNIKÓW I BEZSTRONNOŚĆ SĄDÓW.

PRAWO WINNO BYĆ JASNE I WYRAŹNE — WOBEC PRAWA WSZYSCY SĄ RÓWNI.

PODATKI MOGĄ BYĆ NAŁOŻONE TYLKO ZA ZGODĄ TYCH, KTÓRZY MAJĄ JE PŁACIĆ — NALEŻY PRZY TYM UWZGLĘDNIAĆ STAN MAJĄTKOWY KAŻDEGO OBYWATELA.

Bo wspólna jest droga obu narodów. Jest to — jak wtedy, w dniach Kościuszki i Wysockiego — droga walki o wolność, prawo i postęp, droga, z której naród polski nigdy nie zeszedł i nie zejdzie pod żadnym naciskiem zewnętrznym, czy wewnętrznym. Jest to droga demokracji, droga wskazana uniwersałem połanieckim i manifestem Towarzystwa Demokratycznego, Księgami Pielgrzymstwa i Trybuną Ludów. Oba narody w tym samym niemal roku na drogę tę wkroczyły i w ciągu 150 lat szły po niej ramię w ramię, jak dwa wielkie oddziały potężnej armii wolności. W zwycięstwach i klęskach, w dniach triumfu i żałoby, rozbrzmiewały nad tymi czołowymi zastępami demokracji europejskiej XIX wieku, zrodzone w patosie walk z feodalizmem, w jakobińskim zapale bojowym, porywające strofy nieśmiertelnej Marsylianki:

Amour sacré de la patrie,
Conduis, soutiens nos bras vengeurs!
Liberté, liberté chérie,
Combats avec tes défenseurs!)*

*) Święta miłości ojczyzny, prowadź, podtrzymuj nasze ramię mścicielskie, wolności, wolności ukochana, walcz przy boku twych obrońców.

Odblaski Rewolucji Francuskiej

w Powstaniu Kościuszkowskim

W roku bieżącym upływa 149 lat od zburzenia Bastylii — symbolu panowania obwarowanego murem i fosami przywileju jednostek nad milionowymi masami. 149 lat temu rozpoczęły się nowożytne dzieje Europy, zaczęła się era walki o wyjście z barbarzyństwa trwająca po dzień dzisiejszy. Wstrząs po zawaleniu się murów Bastylii odczuł cały świat, ale najsilniej bodaj, poza granicami Francji, odczuto go w Polsce. Tutaj wymowę tego faktu zrozumieli nie tylko feodalni królikowie, z których każdy realizował zasadę — państwo to ja — ale i ci, dla których zburzenie Bastylii stało się drogowskazem, dodało wiary we własne siły, obnażało spróchniałą nędzę rządzącej, uprzywilejowanej warstwy.

Rola rewolucji francuskiej w wielkim wysiłku podźwignięcia murszejącej w szlachetczyźnie Polski była zbyt wielka i zbyt widoczna, aby ją można było pominąć. Wielka Rewolucja wyzwoliła we Francji olbrzymi potencjał sił społecznych przez powołanie do życia milionów niewolników, czyniąc interes państwa interesem wszystkich jego obywateli. Dla Polski zagrożonej rozbiorem a później dla Polski uśmierconej politycznie w poszukiwaniu dróg ratunku przykład francuski musiał nasunąć się jako jedyny celowy i skuteczny. Rzesze ludowe w budzących się przebłyskach świadomości zrozumiały, iż teraz, kiedy zaprzedane zostały w niewolę przez broniącą swoich przywilejów szlachtę, na nie spada obowiązek przejęcia roli obrońców ojczyzny. Postulat rewolucji stał się synonimem niepodległości. Polska szlachecka skończyła swój chlubny żywot ostatnim aktem, sprzedając się za pruskie talary i rosyjskie ruble. Rzecz bardzo znamienna, że momenty w których przysłowiowe ruble i talary odegrały tak brzemienną w skutki rolę zostały doszczętnie „zapomniane" przez naszych reakcyjnych pismaków.

Utożsamienie przewrotu społecznego z walką o niepodległość to wielka nauka, jaką zawdzięczamy rewolucji francuskiej. Od walk Kuźnicy kołłątajowskiej po organizację bojową Józefa Piłsudskiego dojrzewała i krystalizowała się prawda, iż tylko rzesze pracujące, zdobywając dla siebie obywatelstwo, zdolne są wywalczyć byt polityczny.

Pierwsze w historycznej kolejności wystąpiło na widownię mieszczaństwo polskie. Zburzenie Bastylii było dla niego sygnałem podjęcia walki o należne sobie prawa, o wywalczenie współudziału w decydowaniu o losach państwa. Burżuazja francuska uznała w r. 1789, że ona reprezentuje naród, przedstawiciele stanu trzeciego uznali się w czerwcu tego roku za Zgromadzenie Narodowe, uznali się za uprawnionych do uchwalenia nowej konstytucji. Kilka zaledwie miesięcy później przedstawiciele mieszczaństwa polskiego stanęli przed sejmem szlacheckim już nie z uniżoną prośbą, ale jako reprezentanci woli ludu, silni poczuciem słuszności swoich żądań, oparciem o większość społeczeństwa. *„Naród do zbyt małej ilości obywatelów mówi uprzejmie"* — brzmiało jedno ze zdań przedłożonej szlachcie deklaracji. Świadczy ono o całkowitym zrozumieniu lekcji paryskiej. Akcentowało zdaniem tym mieszczaństwo polskie, iż uznaje siebie za przedstawiciela całego narodu, występuje w obronie wszystkich uciśnionych i uprawnione jest do wyrażania ich woli. Owa „uprzejmość" pod adresem sejmu szlacheckiego wyraźnie kryje w sobie pomruk nadciągającej burzy.

Konstytucja majowa powstała w atmosferze przyswajania deklaracji praw człowieka i obywatela, kiedy po raz pierwszy w Polsce zakwestionowano szlacheckie przywileje, po raz pierwszy w broszurach i przemówieniach tłumaczono „motłochowi", że ludzie rodzą się równi i wszelki przywilej jest bezprawiem. Formułowano postulat demokracji jako prosty wynik naturalnej równości, dający każdemu jednakowe prawo do udziału w życiu publicznym. Rządy szlacheckie są bezprawiem, ponieważ „mniejszość nie mająca pełnomocnictw od większości, prawa jej przepisywać nie mocna ani zwać się narodem" — mówi jedna z broszur agitacyjnych.

Cóż stąd, że późniejsi rzekomi wyznawcy konstytucji majowej widzieć chcieli tylko to, co w niej było zachowawczego, co przedłużało panowanie uprzywilejowanej kliki? Nurt właściwy tych czasów nie znalazł jeszcze dostatecznego wyrazu w konstytucji, żył poza nią, poza jej zasięgiem kształtował nowe, twórcze siły narodu. Wszystko prawie, co było uosobieniem zadawnionego przywileju, bronionego przez konstytucję znalazło się wkrótce w obozie zdrajców, te zaś warstwy, o których mówiła niewiele albo nic — mieszczaństwo i chłopstwo — powstały, aby zadokumentować, że są jedyną siłą, której zależy na utrzymaniu niepodległości walącej się Ojczyzny. W r. 1794 po raz drugi odbiły się głośnym echem hasła i doświadczenia rewolucji francuskiej. „Wolność, całość, niepodległość" to tylko jedna strona sztandaru rewolucji kościuszkowskiej wypisana w złudnej nadziei pozyskania drżącej przed jakobinizmem szlachty. Pod hasłem „wolność, równość, braterstwo" walczył lud Warszawy i Wilna, pod tym hasłem wyciągał rękę po władzę, chwytał miecz społecznej i narodowej sprawiedliwości. Tłumy „pospólstwa" biwakujące na ulicach Warszawy i Wilna wyprzedziły w tym momencie o wiele lat swoją społeczną dojrzałość, w świetle płonącej nad Europą łuny ujrzały całą nikczemność szlacheckiego pasożytnictwa, zrozumiały, że tylko one zapobiec mogą grożącej katastrofie. Dwa oblicza miało powstanie 1794 r.: jedno kompromisowe, oportunistyczne, cofające się przed stanowczym rozstrzygnięciem i drugie radykalne, rewolucyjne, pragnące ogniem wypalić zgangrenowane miejsca dla ocalenia organizmu narodu. Tu śladem rewolucji francuskiej stawiano wszystko na kartę, dla bosych sankiulotów nic nie było droższego nad Ojczyznę.

Na której drodze leżało zwycięstwo?

Wymieńmy wszystkie tryumfy oręża powstańczego: Racławice, powstanie warszawskie, powstanie wileńskie, bohaterska obrona Wilna i Warszawy — oto czyny dokonane przez tę część społeczeństwa, która nie liczyła się w kalkulacjach szlacheckich polityków, mogła liczyć się jedynie na „głowy" jako część narodowego majątku. Racławic dokonał ożywiony nadzieją zdobycia wolności chłop, który w przeddzień jeszcze rozrzucał gnój na jaśniepańskim polu, Wilna broniła bezimienna gawiedź uliczna, broniła z największym bohaterstwem bez żadnej pomocy ze strony wojska. A czyż jest w historii Polski wspanialsza karta nad powstanie warszawskie? Zwyciężyła tu armia, w której żołnierz walczył obok czeladnika, w której wodzowie byli tak samo bezimienni, jak żołnierze —zwyciężyła, ponieważ ożywiały ją wielkie ideały. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że czeladnik, najmita warszawski walczył o Polskę Poniatowskich, Czartoryskich, Potockich czy Radziwiłłów. Broniąc zadławionej i zaprzedanej ojczyzny bronił i swojej wolności przed feodalną zgrają, realizował ideał równości, równych praw dla wszystkich. Nie tylko w teorii — realizował go i w praktyce, kijami obijał na ulicy tych z panów szlachty, którzy nie chcieli w nim widzieć wolnego obywatela.

Półtora wieku temu, właśnie w dniu, kiedy nie uzbrojone pięści paryskiego ludu ścierały z oblicza ziemi mury Bastylii, rozpoczął się w Polsce proces, mający stać się treścią nie tylko rewolucji kościuszkowskiej ale i najgłębszą istotą wszystkich wewnętrznych walk i przemian po dzień dzisiejszy. Proces ten to nieustanne bombardowanie murów stanowego przywileju, walka o uczłowieczenie i uspołecznienie 90% mieszkańców (nie obywateli!) kraju. Tam wziął początek prąd demokracji Polski, ogarniający stopniowo coraz szersze warstwy. Po mieszczaństwie przyszła kolej na rzeszę robotniczą

i chłopstwo. W toku walk społecznych dojrzewały masy pracujące do samodzielnego postawienia swoich żądań.

W jakim punkcie procesu wciągania wszystkich mieszkańców kraju do aktywnej roli społeczno-państwowej znajdujemy się dziś? Jeżeli w końcu XVIII wieku Polska liczyła około 200 tys. pełnoprawnych obywateli, żerujących na sześciomilionowej masie chłopskiej, utrzymywanej na poziomie jaskiniowym, to stwierdzić trzeba, że za małe są zdobycze okupione krwią tysięcy bohaterów. Dziś jeszcze więcej niż połowa ludności Polski pozbawiona jest nie tylko praw obywatela, ale nie wywalczyła sobie jeszcze praw człowieka, prawa zaspakajania głodu, prawa do korzystania z elementarnych zdobyczy cywilizacji. W siódmym tysiącu lat istnienia pisma, w pół tysiąca lat po wynalezieniu druku, więcej niż połowa ludności pozbawiona jest dostępu do książki. Wraz z Polską zmartwychwstał i przywilej stanu grupy czy kliki, zmienił tylko strój i nazwę, przystosował się do „ducha czasu" i wyciągnął łapę po należne od wieków prawa.

Bastylia nie upadła jeszcze, czeka na ręce, które ją zburzą, które jej gruzami zasypią przepaście dzielące możnych i maluczkich. Częściowe choćby wyrównanie krzyczących dysproporcyj, zerwanie ostateczne z okresem jaskiniowym to wielkie dzieło demokratyzacji kraju.

Obrońcy Bastylii, reakcyjna sfora pieniąca się na wspomienie choćby demokracji, nie może w swoim arsenale znaleźć żadnego argumentu, który przysłoniłby jej ciasny interes uprzywilejowanej kliki. Jedynym jej orężem jest wspomagane nieuctwem kłamstwo, żerujące na głębokich jeszcze pokładach barbarzyństwa.

Oto słyszeliśmy nie dawno z wyżyn akademickiego fotela wygłaszane kazanie, że demokracja, jak wykazuje doświadczenie, jest zgubą Polski*). Skąd płynie to doświadczenie? — pytamy zdumieni. W ciągu ilu lat na przestrzeni blisko tysiąclecia swego historycznego istnienia była Polska krajem demokratycznym? Może nowy prorok polskiego wstecznictwa w przysłowiowej już naiwności swoich naukowych poglądów wliczył tutaj i „demokrację" szlachecką, demokrację 200 tysięcy — nie dostrzegłszy w kaznodziejskim zapale, że sam walczy o taką, skoro odrzuca demokrację prawdziwą, ludową, ogarniającą i pozostałe 90% społeczeństwa. Może doświadczenie to płynie z ośmioletnich dziejów demokracji w Polsce odrodzonej? Gdybyśmy nawet uznali, że to o taką formę demokracji walczą dziś rzesze pracujące, to czy „doświadczenia" nie trącą światopoglądem beznadziejnie ciasnym? Moglibyśmy beniaminkowi polskiej reakcji wskazać dziesiątki i setki lat w których Polska grzęzła i ginęła, ponieważ demokrację uznano za wymysł szatański. Doświadczenia stamtąd płynące przeważyłyby i ilościowo i jakościowo owe osiem lat z nadwyżką, zdolną przekonać tysiące głupców. Moglibyśmy wskazać, że wszystkie jaśniejsze punkty w dziejach ostatnich dwóch wieków to właśnie te, w których demokracja odnosiła choćby częściowe, choćby kilka dni trwające zwycięstwa. Lata 1791, 1794, 1831, 1848, 1863, 1905 i wreszcie o ironio losów 1918 i 1920 — to momenty, w których sprawę Polski podejmowały walczące o demokrację rzesze ludowe. I naodwrót, zawsze, kiedy losy Polski spoczęły w rękach walczącej z demokracją reakcji, kiedy narodową ideologię preparowały jej płatne od wiersza czy ryczałtem pismaki — w tych punktach powstawały czarne plamy, których zatrzeć nie mogły pokolenia historyków.

Wielki prąd demokratyzacji społeczeństw mimo chwilowych załamań i regresji, postępuje wciąż naprzód, choćby proces ten wydał się nam zbyt powolny. Mury Bastylii stały setki lat nim legły w gruzy. W historii bowiem obowiązuje prawo kumulacji — pozornie bezskuteczne wysiłki nie giną w próżni, sumują się, aby przy którymś skolei uderzeniu wydać ostateczny rezultat. W tym tkwi źródło wiary w zwycięstwo demokracji.

W. K. BIEŃKOWSKI.

*) Por. zamieszczony w Pionie cykl artykułów F. Goetla p.t. „Faszyzm a Polacy".

Z DNIA NA DZIEŃ

WESOŁA ARCHEOLOGIA

W środowisku najskrajniejszej reakcji znów zawrzało przeciwko masonerii. Na jakiś tajemniczy sygnał uderzono tam we wszystkie swoje bębny i cymbały, wzniecając nieopisaną wrzawę i zgiełk. Niejednemu zapewne ze spędzonych na wiece i widowiska prostaczków zjeżyła się sierść ze zgrozy, roztaczanej przez szczwanych zamawiaczy, wykonywających pewną, nader przejrzystą robotę polityczną.

Tym razem użyto do tej zbożnej pracy b. premiera, tak jak się używa byłych, nieraz nawet dzielnych i zasłużonych ministrów do uświetnienia swymi nazwiskami rad i zarządów różnych karteli i wielkich koncernów. Ale ten były tzw. „wesoły premier" i archeolog, potrafi być, jak się okazuje, równie wesołym odkrywcą i publicystą. Wbrew jednak najlepszym intencjom „rewelatora" i z oczywistą a niepotrzebną szkodą dla krucjaty przeciw masońskiej — ogłoszone nazwiska strasznych braci bynajmniej nie budzą ani grozy, ani gniewu, ani nieufności w sercu dobrego Polaka: Ignacy Paderewski, prof. Stanisław Kot (już zaprzeczył!) marsz. Maciej Rataj, gen. Władysław Sikorski, prof. Stanisław Stroński. Każdy zawoła: daj Boże więcej takich masonów, o takim brzmieniu nazwiska i o takich zasługach dla Polski!

Dziwnym na pozór zbiegiem okoliczności wymienione nazwiska reprezentujące najpiękniejszy wykwit kultury polskiej związanej z umysłowością zachodnią, niejako symbolizują niezachwiany duchowy i polityczny związek Rzeczypospolitej Polskiej z Francją i Ameryką, a jednocześnie znane są z swej postawy antytotalistycznej i antyhitlerowskiej.

Ta sztucznie wzniecana obecnie wrzawa dokoła masonerii przez zgrane politycznie i osamotnione w narodzie kliki i mafie reakcyjne, jawnie prohitlerowskie, kryje ponadto jakąś tajemniczą rozgrywkę w łonie „elity", a także przesłania jeszcze jedną rozpaczliwą dywersyjną próbę powstrzymania wzbierającej nieubłaganie fali demokratycznej w całym kraju. O ile zaś chodzi o samą, tak szumnie i buńczucznie zapowiadaną groźbę ogłoszenia dalszej listy „proskrybowanych", to być może, iż niezadługo opinia publiczna dowie się, co i na kim w łonie „elity" chciano wymusić w ten sposób lub jakie plany polityczne zamierzano przygotować, a jakie pokrzyżować.

Ozłocona „mistyka"

Rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa. Rumunia, kraj zaprzyjaźniony z Polską, kraj o rządzie reakcyjnym, „autorytatywnym", prawicowym, antysemickim, a więc — z wszystkich tych względów — miłym sercu i naszej reakcji, rozpoczął likwidację niemieckiej agentury w kraju. Szef tej agentury, płatny stypendysta Berlina, „kapitan" Codreanu poszedł do więzienia. I oto zdemaskowany „kapitan" znajduje obrońców w Polsce, i to bynajmniej nie wśród członków „Jungdeutsche Partei" lecz w czołowym organie bojowego **polskiego** nacjonalizmu. Przez bitych dziewięć szpalt ciągnie się „wstępniak" „Prosto z mostu", poświęcony wybieleniu bukareszteńskiej ekspozytury p. Goebbelsa.

Czego tu niema! Jest oczywiście, niezbędna w takich razach „intryga żydowska" i patriarcha Cristea: stary, doświadczony antysemita zaawansował odrazu na „żydowskiego Wojtka". Jest skarga na kapitał zagraniczny, insynuacje o prowokacji — biedni są ci nacjonaliści z Faszinternu, zawsze ich ktoś do czegoś prowokuje. Są kpiny z aktu oskarżenia, z szyfrów znalezionych („łamigłówki algebraiczno-polityczne") itd. itd. Jest wreszcie apoteoza samego Codreanu, „człowieka, którego nie mógł czepiać się żaden brud". I wyrażenie — na końcu — przeświadczenia, że sprawa Codreanu jeszcze nie jest przegrana, że „mistyk", żyjący subwencjami p. Goebbelsa, jeszcze powróci do dawnego znaczenia, jeszcze obejmie ster rządów w Rumunii.

Nie chcemy wdawać się w proroctwa. Wiemy bowiem, że na rzecz Codreanu działają nadal potężne wpływy zakulisowe, działa przede wszystkim potężna dziś w dorzeczu Dunaju, nie mistyczna zgoła, potęga zbrojna Trzeciej Rzeszy. Nie mamy zaś najmniejszego powodu wierzyć w przeciwfaszystowskie przekonania starej reakcji, która dziś sprawuje rządy w Rumunii i tylko w obliczu bezpośredniego zagrożenia niepodległości kraju zdecydowała się na uderzenie w agenta obcej potencji.

Ale na jeden fakt chcemy zwrócić uwagę. Wszystkim wiadomo, że zarzutem głównym skierowanym przeciw Codreanu było pobieranie subwencji z Niemiec. P. Kleszczyński, autor artykułu z „Prosto z Mostu" dziwnie lekko przechodzi do porządku dziennego nad tym zarzutem. Po pierwsze — zaznaczmy, że p. Kleszczyński woli nie wymieniać o kogo chodzi. Mówi tylko anonimowo o „jakimś państwie". Co za niezwykła, zadziwiająca u naszych oenerowców, skłonnych naogół do hałaśliwych rewelacji, dyskrecja! Po drugie — „W żadnym razie nie wiedział o tym Codreanu i nie pozostawał na usługach żadnego państwa". W żadnym razie nie. P. Kleszczyński wie, że to jest absolutnie niemożliwe. Bo „kapitan" to mistyk i nie babrał by sobie palców.

„Mistyk" — być może. Bo trzeba doprawdy być mistykiem, by otrzymywać dziesiątki milionów miesięcznie — o takich sumach mówiono na procesie — i myśleć, że spadają one z nieba, że je przysyła Archanioł Michał, pasowany — bez swej zgody, oczywiście — na patrona ruchu „Żelaznej Gwardii", że ich dostarczają niebiescy opiekunowie wzamian np. za odnawianie cerkwi...

Chroń nas Boże od takich „mistyków" w Polsce!

GŁOSY STARYCH PRZYJACIÓŁ

W „Zielonym Sztandarze" Irena Kosmowska bardzo trafnie ocenia znany program „odpolitycznienia" młodzieży, lansowany przez sanacyjne organizacje wiejskie:

„Zalecenie to szło z wyżyn dygnitarskich, przez radio, które rozniosło po całym kraju przemówienie do młodzieży wiejskiej min. Poniatowskiego. Odzywało się też i w głosach idących od samej młodzieży — właściwie od jej urzędowych wodzirejów — odżegnywał się bowiem od polityki p. Gierat w swym programowym przemówieniu do siewowców. Min. Poniatowski — przyjmując postawę „starego przyjaciela" — mówił tak: „W młodych głowach często się pali. Istnieje naturalny pęd jaknajrychlejszego zastąpienia wszędzie dorosłych. Często pośpiech, pokrywający się z dążeniami politycznymi, rozsadza organizacje młodzieżowe. Należy więc chronić się przed nadawaniem organizacji młodzieżowej piętna politycznego".

Irena Kosmowska wyjaśnia, że polityka, to poprostu walka o lepsze jutro i dlatego młodzież chłopska powinna „politykować". I doprawdy, jakże nie ma „zajmować się" polityką ta młodzież, której położenie maluje w tym samym piśmie J. Balcerzak: „Dorasta młodzież chłopska i widzi, że nie ma dla niej miejsca na tej ziemi. Do miasta też nie ma po co iść, bo tam również bezrobocie. Kiedy wokół widzi rozsadowione dwory i często odłogiem leżącą ziemię, słyszy zbawienne rady narodowców zakładania straganów, lub zajęcia miejsca tych, co chodzą i wołają: „Szmaty, Szmaty! talerzyki za gałgany!"

Ten dwugłos działaczy ludowych starego i młodego pokolenia lapidarnie charakteryzuje stosunek obu stronnictw antydemokratycznych, sanacji i endecji, do młodzieży wiejskiej, do jej organizacji, do jej ruchu społeczno-oświatowego.

Odpowiedź ruchu ludowego pod adresem „apolitycznych" wychowawców młodzieży chłopskiej daje Ir. Kosmowska, która nawiązując do przemówienia min. Poniatowskiego, pisze w cytowanym już artykule: „To też ja, jako „stara przyjaciółka" nie powiem młodzieży wiejskiej: unikajcie polityki. Zapytam raczej tę młodzież: czy jesteście gotowi? Czy obejmujecie myślą, zbudzoną i świadomą wolą to, co postawiły przed wami dzieje? Ustrój administracyjny, gospodarka krajowa i stan oświaty — to są wszystko dziedziny polskiego życia, które dziś są polem walki ludu pracującego z zalewem powrotnej fali szlachetczyzny. Ja wierzę, że młoda wieś tę walkę przeprowadzi zwycięsko i odzyska ten radosny rozpęd do zagospodarowywania wolnej Ojczyzny, którą w nas starych stłumił etatyzm państwowy. Ja „stara przyjaciółka" pozdrawiam młodzież wiejską jako bojowników i budowniczych Polski ludowej, jako czołowy zastęp żywej i świadomej, więc politycznie czynnej, gromady chłopskiej".

Tak pojmują ideolodzy ludowi rolę i zadania młodzieży chłopskiej. Ale tak samo zapatruje się cała demokracja polska na drogi ruchu wyzwoleńczego młodego pokolenia, które osiąga pełnię swojej samowiedzy i w twardej szkole życia sposobi się wraz z całym obozem demokracji do „zagospodarowywania wolnej Ojczyzny".

Oszałamiające gratulacje

Pewien pan z Krakowa — pominiemy tu jego nazwisko — tak się uradował sukcesami lotnictwa niemieckiego na froncie aragońskim, że wysłał gratulacje do generała Franco z tego powodu. Otrzymał też w odpowiedzi odręczne pismo z podziękowaniem (to jeszcze widać p. generał załatwia sam, bez niemieckich i włoskich doradców). Roztrąbiła o tym szeroko i radośnie cała nasza prasa faszystowska, od „Małego Dziennika" do „Ikaca".

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pewna drobna okoliczność. Oto pan o którym mowa, jest funkcjonariuszem w czynnej służbie Policji Państwowej i w komunikatach o jego korespondencji z wodzem hiszpańskiej rebelii wymienia się dokładnie jego stopień służbowy i przydział.

Powstaje oryginalna sytuacja. O ile nam wiadomo, gen. Franco nie został dotąd uznany przez Polskę ani de facto, ani de jure. Jedynym legalnym rządem hiszpańskim jest — z punktu widzenia formalnego stanowiska dyplomatycznego Polski — rząd barceloński, rząd Republiki. P. gen. Franco jest — z tegoż stanowiska — tylko szefem uzbrojonych ludzi, którzy siłą zbrojną opanowali część terytorium Hiszpanii. Czymś w rodzaju Doboszyńskiego, któremu się udało. Ale oto urzędnik państwowy, i to taki, do którego formalnych obowiązków należy ochrona bezpieczeństwa publicznego, przesyła oficjalnie gratulacje krzywoprzysiężnemu wodzowi nielegalnej rebelii.

Byłoby rzeczą ciekawą, gdyby tak jakiś funkcjonariusz policji państwowej przesłał rządowi meksykańskiemu gratulację z powodu wywłaszczenia zagranicznych trustów naftowych, czy również spotkałoby się to z tak przychylnym przyjęciem? Albo gdyby — horribile dictu — gratulował władzom policyjnym Republiki Francuskiej, a więc swym kolegom zawodowym, służącym sojuszniczej, zaprzyjaźnionej z Polską Francji — z powodu udanej likwidacji hitlerowskich agentur typu „Kagulardów"? Czy wtedy nie uznano by słusznie, że jest to mieszanie się do polityki, od której powinni trzymać się zdala stróże bezpieczeństwa publicznego?

Jesteśmy przeciwnikami dopuszczania ochotników do wojsk gen Franco. Ale przyznajemy, że wolelibyśmy widzieć tego pana w Legii Cudzoziemskiej rebelii, jeśli kto woli, poprostu w S.A. lub S.S. Trzeciej Rzeszy, niż jako stróża bezpieczeństwa w Polsce.

„Gdyby rządziła krajem endecja..."

Notowaliśmy niedawno, ze zdziwieniem nawoływania „Nowej Rzeczypospolitej", do stworzenia pomostu pomiędzy stronnictwami demokracji a „profesorskim" skrzydłem endecji. Stwierdziliśmy wtedy, że usiłowania tego rodzaju są szkodliwe dla demokracji polskiej i nie przystoją stronnictwu, które samo, z własnej, niczym nie przymuszonej woli stanęło na demokratycznej platformie.

To nasze stanowisko niejako poparte zostało przez jeden z organów Stronnictwa Pracy, mianowicie przez pomorską „Obronę Ludu". W numerze z dnia 1 b. m. czytamy tam: „Gdyby krajem rządziła endecja, były by tak samo „czyste, uczciwe" wybory, tak samo „demokratyczne" rządy i tak samo ciche zmowy z kartelami. W mydleniu oczu endecja w niczym nie ustępowałaby sanacji, a polityka teroru i nacisku byłaby nie mniejsza niż za czasów sławetnego B. B. W. R.... Dlatego żywioły szczerze demokratyczne muszą starannie odgrodzić się od endecji i jej przybudówek politycznych..."

W dodatku teoretycznym tego samego pisma, ob. F. Antczak, jeden z kierowników młodzieży spod znaku „Jedności" (zbliżonej do Stronnictwa Pracy) nawiązując do słów Karola Popiela że „na drogę normalnego rozwoju może wprowadzić Polskę jedynie urzeczywistnienie demokracji", precyzuje program najbliższy żądań demokratycznych, który, zdaniem naszym, w istocie podpisać może każdy szczery, nie fałszywy demokrata w Polsce. Oto ten program: „1) Pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze (głosowanie powszechne, równe, tajne, bezpośrednie i proporcjonalne dla mężczyzn i kobiet po ukończeniu przez nich 21 lat życia). 2) Odpowiedzialność polityczna Rządu przed Sejmem i sądowa przed Trybunałem Stanu. 3) Niezależność sądownictwa i sądy przysięgłych w sprawach karnych. 4) Wolność prasy. 5) Równość wszystkich obywateli państwa wobec prawa. 6) Samorząd oparty na demokratycznych podstawach. 7) Wolność zgromadzeń i stowarzyszania się".

Niewątpliwie, żądania te, to żądania wszystkich demokratów w Polsce. Ale nie osiągnie się ich urzeczywistnienia przez blok z „profesorską" grupą endecji, lub też z tymi czy innymi odpryskami sanacji. Nie osiągnie się ich przez podjazdową wojnę z ruchem socjalistycznym i próby skłócenia Stronnictwa Ludowego i P. P. S. Rozumie to ob. Antczak, wypowiadając się w innym artykule za współpracą swego stronnictwa ze wszystkimi kierunkami demokratycznymi w Polsce, w ich liczbie z P. P. S. Niestety, słuszne poglądy ob. Antczaka niezawsze mają decydujący wpływ na politykę jego stronnictwa.

„Pluń w rożu Gutenbergu"

Są poglądy, nad którymi warto się czasem zastanowić, zwłaszcza nad takim, jak poniższy: „Wszystkie nieszczęścia Hiszpanii płyną z idiotycznego dążenia rządu, aby **nauczyć Hiszpanów czytać.** Nauczyć czytać człowieka, nie jest niczym innym, jak przyzwyczaić go do trucizny, która ściągnie nieszczęście na niego i jego ojczyznę". Wygłosił ten wzniosły pogląd człowiek, który sam — doprawdy ku nieszczęściu swej ojczyzny — nauczył się nietylko czytać, ale i pisać. Jest to mianowicie artykuł granda Hiszpanii, czyli jak wszyscy grandowie, właściciela wielkich latyfundii i — również jak wszyscy grandowie — gorącego zwolennika gen. Franco, markiza Lozoya.

Spodobały się widać te słowa autorytatywnym władzom „narodowej" rebelii i jej jeszcze bardziej autorytatywnym berlińsko-rzymskim protektorom, bo wkrótce po tym szlachetny pan markiz został zamianowany — członkiem Rady Oświecenia Publicznego istniejącej przy tzw. „rządzie" gen Franco .

Jeden z carskich policmajstrów mawiał udzielając ludziom paszportu zagranicznego: „A nie zapomnijcie pójść tam, w Niemczech pod pomnik Gutenberga i plunąć mu tak szczerze, prosto w mordę. To z jego przeklętego wynalazku druku wszystko złe na świecie, kramoła wszelka się zrodziła".

No, tak, ale to był, bądź co bądź, policmajster. Do Ministerstwa Oświaty posyłano — może nie mniej zacofane ale w każdym razie mniej szczere „osobistości". Faszyzm europejski bije jeszcze jeden rekord nieboszczki carskiej Rosji.

MAJĄ TERAZ OKAZJĘ

W Wiedniu odbyło się posiedzenie zarządu głównego Związku Niemców Zagranicznych. Prezesem organizacji wybrany został Konrad Henlein, wódz hitlerowskiej partii sudecko-niemieckiej. W ten sposób człowiek słuchający rozkazów bezpośrednio z Berlina i wykonujący ściśle dyrektywy Hitlera, stanął na czele organizacji, skupiającej obywateli różnych państw, w stosunku do których Trzecia Rzesza prowadzi wiadomą politykę. M. in. Związek Niemców Zagranicznych, jawna ekspozytura niemieckiej partii rządzącej, skupia w swych szeregach także Niemców-obywateli polskich, których oficjalnym „Fuehrerem" został obecnie generalny pełnomocnik Hitlera i Ribbentropa na Środkową Europę. Nasza prasa hitlerochwalcza, która całe szpalty zapełnia straszliwymi „rewelacjami" o różnych sprzysiężonych na zgubę Polski międzynarodówkach, ma teraz okazję do wielkiej kampanii demaskatorskiej. Ale solidarność i dyscyplina wewnętrzna obowiązuje we Faszinternie.

PLON ZBRODNICZEGO POSIEWU

Zbrodnicza propaganda naszych faszystów zaczyna przynosić plony na nowym polu. Ulicznik zaczadzony trującymi wyziewami polskiej prasy hitlerofilskiej dokonał chuligańskiej napaści na księdza Tad Pudra, odprawiającego w kościele św. Jacka służbę Bożą. Przyczyna? Ksiądz Puder jest pochodzenia żydowskiego. Objął parafię po osławionym „dzielnym prałacie" Trzeciaku, uczestniku kongresu w Erfurcie. Przeciw nowemu proboszczowi rozpętano nie przebierającą w środkach nagonkę rasistowską. Wynik przyszedł nadspodziewanie prędko.

Nie sposób pominąć tu milczeniem postępowania sfer najbardziej zainteresowanych. Nikczemna nagonka przeciw ks. Pudrowi nie została napiętnowana i nazwana po imieniu wtedy, kiedy była po temu pora. Czynniki kościelne milczały — milczała Akcja Katolicka. **Podobno** wyrzucono za drzwi „delegację" oenerowską, która „interweniowała" w tej sprawie i zwróciła władzy kościelnej uwagę na „niestosowność" mianowania Żyda proboszczem. W każdym razie publicznie nie odpowiedziano na ataki hitlerowców. Po ohydnym czynie ulicznika KAP wydała dość ostro zredagowany komunikat — ale również nie nazwała po imieniu inspiratorów i mocodawców zdziczałego chuligana.

Pamiętamy, że po straszliwej zbrodni lubońskiej cała prasa reakcyjna, zarówno hitlerowska jak i katolicka rozpętała nad świeżą mogiłą ks. Streicha niesumienną kampanię oszczerstw, chcąc obarczyć demokrację odpowiedzialnością za potworny czyn mordercy. Nie cofano się przed żadną nikczemnością, szczuto w pismach i na wiecach Akcji Katolickiej, zorganizowano wielką, ogólno-polską krucjatę przeciw obozowi wolności i postępu. Teraz mówi się ogólnikowo o barbarzyństwie i zdziczeniu...

TO POSIADA TAKŻE SWOJĄ WYMOWĘ

W Warszawie i kilku miastach prowincjonalnych strajkowali niedawno aplikanci adwokaccy przeciw zamknięciu list adwokackich na 7 lat, zarządzonemu przez ministra sprawiedliwości. Mówiąc słowami tygodnika **Czarno na białem** — „Zarządzenie to, przypominające jako żywo czasy reżimu carskiego" niweczy karierę życiową kilku tysięcy ludzi, którzy w najgorszych, pauperskich nieraz warunkach przebrnęli przez głodowe lata studiów i aplikacji w sądzie i u patrona. Organ lewicy legionowej tak ocenia decyzję ministerialną:

„Zarządzenie p. min. Grabowskiego, wymierzone w aplikantów-Żydów, jest kolejnym triumfem żywiołów szowinistycznych, uważających, że prawo do życia i oddychania w Polsce mają wyłącznie elementy rdzennie polskie. Mogło by się zdawać, że w „wolnym" zawodzie powinny wystarczyć metody wolnego współzawodnictwa, bez uciekania się do środków mechanicznej obrony".

Tymczasem w katowickim „Zwrocie", przyznającym się do ideałów katolicko-liberalnych i zajmującym ostro antysanacyjne stanowisko, ukazał się artykuł Aleksandra Mogilnickiego, który w pełni aprobuje politykę nacjonalistycznego ekskluzywizmu na terenie adwokatury i przy pomocy endecko-sanacyjnej argumentacji uzasadnia pożyteczność zarządzenia ministerialnego, przyczem iście oenerowskim językiem udziela nagany „tej nielicznej garści adwokatów - Polaków, którzy przeciwstawili się większości polskiej i zgodzili się przyjmować mandaty z rąk niepolaków. Garstka ta była nieliczna składała się przeważnie z ludzi o poglądach skrajnie lewicowych..."

Na szczęście, pisze Aleksander Mogilnicki, endo-oenerowsko-sanacyjny Związek Adwokatów Polskich (p. Sioda i inni) rozpoczął energiczną działalność „narodową", co po pewnym czasie zaczęło dawać doskonałe wyniki: „Do Związku Adwokatów Polskich zaczęli gremialnie wstępować adwokaci-Polacy wszystkich ugrupowań politycznych, nie wyłączając sanacyjnych; zapomniano o tym, co dzieli, nastąpiło rzeczywiste, niekłamane zjednoczenie narodowe. Wyłamała się tylko nieliczna garstka , o której wyżej. Energiczna akcja Związku Adwokatów Polskich znalazła oddźwięk i w sferach rządowych, które także spostrzegły grożące niebezpieczeństwo".

Przytoczyliśmy ten głos znanego prawnika zamieszczony na łamach organu Stronnictwa Pracy, bo pozwala on stwierdzić, na jakiej platformie udało się ministrowi Grabowskiemu dokonać konsolidacji narodowej od endecji poprzez oenery i sanację aż po Front Morges, głoszący w swym programie i w swej prasie powrót do ustroju demokratycznego.

ZŁUDNY OBRAZ POTĘGI

Nawet niektórzy demokraci są zdania, że województwa zachodnie, Poznańskie i Pomorze pozostają dotąd twierdzami endeckimi, gdzie „rząd dusz" sprawują nasi rodzimi hitlerowcy. A przecież fakty mówią nam coś zgoła innego.

Oto właśnie odbyły się wybory do Rady Głównej Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych. Wybory, w których endecy zmobilizowali wszystkie swe siły, byle utrącić z kierownictwa ludowców, kierowanych przez ob. St. Mikołajczyka, wiceprezesa Stronnictwa Ludowego. Dość powiedzieć, że agitatorzy endeccy zapewniali — jak podaje „Gazeta Grudziądzka" — że ob. Mikołajczyk to „Żyd - przechrzta", działający na szkodę wsi polskiej! A wynik: na Zjeździe na ogólną liczbę 347 głosów oddanych na listę endecką padło 94 głosy, na listę ludowców — 131 głosów. Ludowcy wzrośli z 20 na 131 głosów, stając się najsilniejszym ugrupowaniem w Towarzystwie! Nadto, jak stwierdza „Gazeta Grudziądzka", większość głosów endeckich to głosy wielkiej własności — czołowym kandydatem ich listy był obszarnik Janiszewski — i, niestety, księży. Głosów chłopskich padło na endeków nie więcej jak 30 — 40! A to w Wielkopolsce, tej tradycyjnej twierdzy endectwa. I tu kończą się już endeckie wpływy w masach ludowych.

Gdzie indziej jest jeszcze lepiej. Tak np. na Zjeździe Okręgowego Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych w Krakowie (Związek ten obejmuje województwa krakowskie, kieleckie i śląskie) na 11 członków Rady Okręgowej wybrano 9 czynnych działaczy Stronnictwa Ludowego.

Spółdzielnie Zarobkowo - Gospodarcze grupują raczej zamożniejszy, umiarkowany element wsi — ale i w nich przejawia się niewątpliwa, ogólna tendencja: tam gdzie masy ludowe mają możność wypowiedzenia swego własnego zdania, tam zawsze wypowiadają się one po stronie ugrupowań demokratycznych, przeciwko totalistom wszelkiej maści.

„Refleksje błędomierskie"

Chcąc przedstawić graficznie twórczość J. Iwaszkiewicza zauważylibyśmy, że linia rozwoju artystycznego pisarza wzrastająca ciągle ku górze, nagle załamuje się niepokojąco w dół.

Nie ulega chyba bowiem wątpliwości nawet dla krytyki jak najbardziej bezstronnej, że „Pasje Błędomierskie" są tym trudnym do wytłomaczenia runięciem. Czytelnik tej powieści musi sobie ustawicznie zadawać pytania, dlaczego i poco? Stale ma wrażenie, że autor czegoś jeszcze nie dopowiedział albo powiedział nie tak, jakby mógł i powinien, że wreszcie wszystko jest zlepkiem, pozbawionym tego wewnętrznego kośćca, któryby logicznie wiązał, skupiał i dźwigał całość.

Od pierwszej do ostatniej strony jesteśmy widzami jakiegoś skomplikowanie ponurego widowiska, granego w błędomierskim teatrze.

Na scenie dekoracje — dwór — posiadłość pisarza Zamoyłły. Kontury wsi okolicznych. Rzadko w dalszych scenach zobaczymy w dekoracjach motywy odtwarzające jakieś wielkie miasto np.: Warszawę lub Paryż. Aktorzy grają sprzeczne, nie zazębiające się wzajemnie, biegnące obok siebie jedynie w roli reżysera — role.

W pierwszym akcie widzimy wielkiego pisarza Zamoyłłę. Jest to konglomerat międzynarodowej kultury, żyjący echem swojej sławy, przez nikogo już nie czytany, nierozumiany i sam niczego nie rozumiejący. Zajęty jest tylko swą zbliżającą się śmiercią.

Drugim biegunem literackim to — makabryczna mieszanina poezji i zbrodni — Kaniecki. Około tych dwóch osi błędomierskiego koła obwija się cały ten owiany zgniłym zaduchem, dziwny światek ludzi i ich spraw. Stary Zamoyłło jest zanadto oderwany od życia i rzeczywistości, żeby zobaczyć u swoich stóp błoto. Wprawdzie w domu panuje atmosfera „kulturalna". Są to jednak tylko pozory, pryskające za lada dotknięciem. Żona pisarza również pozornie dbająca o męża i o dom, myśli tylko o swych dzieciach. Jest uosobieniem cynizmu i małomiasteczkowego dorobkiewiczowstwa. Gdy dodamy jej neurastenię, otrzymamy sylwetkę przypominającą pod wieloma względami „cudzoziemkę" Kuncewiczowej. Jedyną namiętnością pani Zamoyłło są jej dzieci. Jest ich pełno. Rozsypani po świecie, zajrzą czasem do rodzinnego gniazda, by wyłudzić od rodziców pieniądze, wypocząć po jakichś ekstrawagancjach lub nawiązać jak Pela jakiś chwilowy, dla zabicia czasu z byle kim — romans. Dzieci są bez rozumu i bez serca, niepotrzebni w życiu i w powiecie. Jedna tylko Róża, ukochana córka Zamoyłły zdradza szlachetne, choć niepozbawionej pewnej pozy aspiracje, by pracować i cierpieć. Nie chce ona, jak jej bracia i siostry wyminąć swego życia, ale je przeżyć.

Otacza nas zwolna kłębowisko ludzi zwyrodniałych, często zboczonych, przegrywających „va banque" swój los.

I oto pierwsza refleksja — poco ta cała koszmarna gromada postaci. Występują one przecież najczęściej epizodycznie lub przeważnie w źle przyszytych do całości utworu rolach. Nie wnoszą niczego. Autor nie zamierzał chyba charakteryzować za ich pomocą jakieś sfery polskiej inteligencji, bo rodzina Zamoyłłów — pozatem, że mieszka częściowo w Polsce i mówi po polsku, niczym więcej nie jest ze swym krajem związana.

Uzupełnieniem i jakby dolaniem do błędomierskiego bagna stosunków wielkomiejskiej jego domieszki jest poeta Kaniecki. Jest to człowiek pozbawiony wszelkiej etyki, wyzuty z jakiejkolwiek moralności, siejący dokoła siebie tylko zło i zbrodnię.

Staje on na czele organizacji przedstawienia „pasyj" w Błędomierzu na wzór tego rodzaju widowisk w Oberammergau.

Przedstawienie to od lat grane w miasteczku przez miejscowych aktorów staje się osią, dokoła której z trudem krystalizuje się akcja.

I tu znów refleksje. Przecież mieszkańcy okoliczni przekonani są, że to tylko słomiany ogień inicjatorów. Organizatorzy od początku już nie interesują się swym projektem. Tacy zaś wśród nich jak Otton Krokowski, brat administratora majątku Zamoyłłów Wiesława, którzy mogliby coś z widowiska uczynić, dowodzą, że już sama chęć skomercjalizowania takiej rzeczy jest zbrodnią i postanawiają cały pomysł zbojkotować. Czytelnik od razu wie, że Pasje się nie udadzą ani teraz, ani w przyszłości, że są w powieści tylko klejem, zlepiającym tych wszystkich, nie mających wiele ze sobą wspólnego ludzi i ich sprzeczne interesy. W miarę czytania coraz trudniej jest zorientować się, co jest zasadniczym tematem utworu. Można go podzielić na kilka części i na kilka akcyj, w których każda mogłaby istnieć samodzielnie. Poza problemem pasyj jest w utworze przecież lekko zarysowany stosunek młodych do starych.

Czy jednak chodziło autorowi o ten konflikt? Nic nie wskazuje na to. Przecież musi on istnieć z racji olbrzymiej różnicy intelektualnej ojca i dzieci, z racji odosobnienia się wielkiego pisarza i zamknięcia się w kręgu własnych przeżyć i rozmyślań w innym, niedostępnym dla otoczenia świecie. Może to być przyczyną konfliktu, a jednocześnie może go wykluczać.

O cóż więc jeszcze może chodzić? O konflikt między życiem i sztuką? Może o stare i młode pokolenie literackie.

Też chyba jednak nie. Zamoyłło jest bowiem ukazany w chwili, kiedy przestał pisać i właściwie żyć. Kaniecki zaś jest poetą wprawdzie, ale zajmuje się sztuką jedynie gdzieś na uboczu swego życia, nie mającego z nią nic wspólnego. Odnosi się nieodparte wrażenie, że gdyby autor nie kazał Kanickiemu i Zamoylle być pisarzami, nie straciłaby na tym wcale wartość i charakter utworu.

Podczas dalszego ciągu tej całej dziwacznej tragikomedii czytelnik-widz, przekonywuje się, że jednak sztuka jest dowcipnie złośliwa. Role główne bowiem okazują się błędnymi, inne zaś partie grane są źle i przez aktorów, źle czujących się w narzuconych im kreacjach.

Inni aktorzy — to znów statyści, nie mający nic do powiedzenia. Stworzeni chyba tylko poto, żeby „robić tłum".

Powieść jest naszpikowana scenami o takim sztucznym teatralnym efekcie, jak np. ostatnia rozmowa Kanieckiego z Różą, śmierć Zamoyłły i wiele innych. „Pasje błędomierskie" do końca nie dają odpowiedzi na pytanie: o co autorowi chodzi?

A przecież dzieło nie powstaje przypadkiem. Jest wynikiem psychologicznego procesu twórcy, kształtującego w sobie jego całość o skonstruowanej harmonijnie, konkretnej celowości.

Iwaszkiewicz zaś dał konglomerat najrozmaitszych ludzi, zdarzeń i faktów, powiązanych zaledwie ze sobą i gniotących się w ramach jednego przeciążonego nimi utworu.

„Pasje“ są też najsłabszym etapem na drodze twórczej Iwaszkiewicza. Uwidacznia się to szczególnie w kompozycji ciągle się rozklejającej i przeładowanej. Pod względem artyzmu zaś i dynamiki wewnętrznej wymagało się o wiele więcej od autora „Panien z Wilka“ i „Czerwonych Tarcz“.

Po zamknięciu ostatniej karty książki czuje się długo jeszcze jej duszną, przygnębiającą, mroczną atmosferę. Poza Ottonem i jego narzeczoną Lodzią, nie ma nigdzie ani jednej zdrowej moralnie i psychicznie, jaśniejszej postaci. Światek błędomierski to przerażające panopticum rzeczy i ludzi koszmarnych, bagno występku i zbrodni.

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI.

Sidła germańskiego mitu

Ostatnia powieść Glaesera, bez względu na takie czy inne stanowisko jej autora, pozostaje dokumentem wielkiej wagi, jeśli chodzi o ujawnienie mechaniki faszyzmu, o zdemaskowanie chwytów i tricków jego propagandy i terroru. Według uporczywych — niezdementowanych zresztą — pogłosek Ernst Glaeser skapitulował przed hitleryzmem i powrócił, „zglajchszaltowany“ do Berlina. Jeśli tak jest rzeczywiście, to mamy do czynienia z załamaniem psychicznym, wynikającym z podstawowego, zlekka już zaznaczonego przez Wacława Rogowicza, faktu: oto Glaeser, sam humanista i demokrata, nie widzi żywych ruchów społecznych, które wynoszą na swych grzbietach demokrację i humanizm. Jego humanizm i demokracja są samotne, jak samotnym jest Jan Kaspar Bäuerle. „Naród“ pozostaje mitycznym tłumem rządzonym przez Dra Kalahne i Gerharta Traegera.

Wartość dokumentalna powieści Glaesera nie zmniejsza się przez te usterki ideologiczne. Od tej właśnie, dokumentalnej przede wszystkim strony ujmuje ją wnikliwa recenzja Wacława Rogowicza.

Ale trzeba jednocześnie pamiętać, że Glaeser, który z takim mistrzostwem i poczuciem prawdy psychologicznej odsłonił przerażające wnętrze hitlerowskiej bestii, stał się pisarzem wysoce niebezpiecznym i niepotrzebnym dla widoków goebbelsowskiej propagandy, dobrze orientującej się w literaturze. „Ostatni cywil“, oddzielony od autora żyje i działa i nie ma sposobu na uśmiercenie tej książki. Ale samego autora, który w zanadrzu nosić może jeszcze nie jeden groźny pocisk literacki, trzeba unieszkodliwić, trzeba go zohydzić, rozsiewając po świecie jego kapitulację, trzeba go zabić moralnie. Tak jak naprzód moralnie zabito Rossellich, rozpuszczając wieści, że przeszli na stronę swoich katów i przed faszyzmem skapitulowali. Dlatego z największą ostrożnością przyjmować należy wieści, lansowane w zagranicznej prasie o pójściu Glaesera do hitlerowskiej Canossy.

EPOKA

Po przeczytaniu powieści Ernsta Gläsera „Ostatni cywil“*) miałem zamiar nazwać recenzję o tej wybitnej książce: „Powieść o utraconej ojczyźnie“. Ale po głębszym zastanowieniu znalazłem w tym sugestię autorskiego tytułu i odrzuciłem ją. Nie to bowiem jest ważne i istotne w dziele niemieckiego pisarza, że ktoś, opuściwszy ojczyznę młodym chłopcem i dorobiwszy się za oceanem dużego majątku, wraca po kilkudziesięciu latach do rodzinnego miasta, by, po kilkuletnim pobycie, wyemigrować ponownie i ostatecznie, bo dusza jego nie może znieść psychicznego klimatu swej ziemi, zatrutego duchem „nowej religii niemieckiej“. Jan Kasper Bäuerle, ów współczesny „ostatni cywil“ hitleryzowanych dopiero Niemiec (książka kończy się w momencie objęcia stanowiska kanclerza przez Adolfa Hitlera), jest bohaterem powieści tylko w sensie więzi fabularnej i głównego wyraziciela myśli autorskiej. Właściwym — jest zaczyn ideologiczny w duszach powojennej młodzieży niemieckiej, rozrastający się na drożdżach doktryny rasistowskiej w groźny kształt zorganizowanego nacjonalistycznego fanatyzmu i duchowej barbarii.

Postać Bäuerlego, jako wroga prusactwa, wyznawcy najlepszych tradycyj wolnościowych południowoniemieckich, swą moralną postawą wobec narastającego w jego oczach ruchu t. zw. narodowo - socjalistycznego, w pełni zasługuje na to, by, pomimo braku w tej postawie elementów walki z tym co uważa on za zło, zdobyć sympatię każdego szczerego demokraty.

Jan Kasper, to potomek starego rodu rzemieślników wirtemberskich, mistrzów kunsztu stolarskiego, posiadających wśród pamiątek rodzinnych dyplomy cechowe z XVI wieku, od dziesięciu pokoleń osiadłych w mieście Siebenwasser nad Nekarem, jednym z dopływów Renu. W tym pięknie położonym mieście i w jego najbliższej okolicy, wśród Niemców wino pijących, rozgrywa się cała akcja „Ostatniego cywila“. Ma to posmak pewnego egzotyzmu dla przeciętnego obcego czytelnika, nawykłego do typu Niemca przy kuflu piwa, nie przy butelce Mozelu, tutaj trunku narodowego.

Tradycje wolności niemieckiej zespoliły się w rodzinie Bäuerlego nierozerwalnie z nienawiścią do Prusaków i wszystkiego co duchem pruskim tchnie. Brat dziada Jana Kaspra, żołnierz rewolucji francuskiej, potem wysoki oficer napoleoński, zastrzelił się w ogrodzie Fontainebleau w nocy po abdykacji cesarza. Dziad zginął od kuli pruskiej pod Rastattem, w pamiętnym roku „wiosny ludów“, 1848-ym. Ojciec, Amadeusz, już nie samodzielny rzemieślnik lecz stolarz w fabryce mebli, topił swą nienawiść do Prusaków i do maszyn, w kieliszku, i to tak zapamiętale, że po wyjściu z więzienia za obrazę cesarsko - niemieckich urzędników, wyemigrował z żoną i dzieckiem do Nowego Yorku, gdzie niebawem zmarł u krewnych na gorączkę pijacką.

---

*) **Ernst Glaeser:** „Ostatni cywil“. Tłumaczył P. Hulka-Laskowski. Skł. Główny: Gebethner i Wolff. Warszawa, 1938. Str. 411.

Młody Jan Kasper, z otrzymanymi od matki trzema dolarami w kieszeni, wyruszył na samodzielne zdobywanie chleba. Zaczął od pracy robotnika w walcowni i przez wynalezienie maszyny do wytwarzania sztucznego lodu został po latach milionerem, właścicielem fabryk aparatów termotechnicznych w Baltimore. Powodzenie życiowe tego Amerykanina nie wydarło z jego serca miłości do Wirtembergii. Gdy Stany Zjednoczone zapowiedziały swój udział w wojnie światowej, Bäuerle obchodził ten dzień jako początek zniszczenia ducha pruskiego i wyzwolenia Niemiec. Niemcy były bowiem dla niego krajem, który dostał się pod władzę ducha obcego ludowi niemieckiemu. Po ogłoszeniu konstytucji weimarskiej w 1919, na wszelki sposób zabiegał o moralne i finansowe wspomaganie Niemiec. „Wspomagajcie republikę! Bądźcie wspaniałomyślni jako zwycięzcy! Pobiliście bowiem nie Niemcy, lecz ich karykaturę!“ wołał w założonym przez siebie piśmie propagandowym, na którym w rezultacie stracił pięćdziesiąt tysięcy dolarów, usiłując walczyć na gruncie amerykańskim przeciw traktatowi wersalskiemu.

Ale to nie ostudziło jego patriotyzmu.

Ożeniony z młodziutką Meksykanką z inteligentnej rodziny, po stracie ukochanej Juany, przeniósłszy całą swoją miłość do niej na jedynaczkę Irenę, żyje myślą powrotu do ojczyzny i oddania całego swego życiowego doświadczenia i części zasobów finansowych sprawie gospodarczej sanacji rodzinnych stron, niszczonych ciężarami odszkodowań wojennych i inflacją. Przezornie nie likwidując swych interesów w Baltimore, Jan Kasper Bäuerle, pięćdziesięciokilkoletni, z dorosłą córką przybywa w r. 1927, pełen radości i energii, do kraju. Od zdziwaczałej dziedziczki panny Fabricius, kupuje zrujnowane dobra Weissenfels pod samem miastem Siebenwasser i wielkim nakładem pracy i pieniędzy w niedługim czasie zamienia je w model nowoczesnego gospodarstwa przemysłowego. Ale coraz mocniejsze wyziewy ruchu „narodowo - socjalistycznego“ w mieście i okolicy zatruwają atmosferę psychiczną temu „utopijnemu demokracie“, jak go określił referent ministerialny w Berlinie, na zasadzie raportu konsula niemieckiego w Baltimore. Akcja „brunatnych koszul“ przejmuje go zgrozą i obrzydzeniem, połączonym z trwogą o los Niemiec. Tymczasem Irena zakochuje się bez pamięci w młodym czołowym szturmowcu, Hansie Diefenbachu. Ojciec akceptuje romans ukochanego dziecka, tym łatwiej, że miłość do Ireny podważa w duszy Hansa, praktykanta w Weissenfels, zręby ideologii hitlerowskiej i czyni z niego materiał na dzielnego pomocnika przyszłego teścia. Ale spada grom. Hans, wyrzucony z partii, nie może przeżyć „hańby“ i pali sobie w łeb, przed samym połogiem Ireny. Z trudem wyrwawszy ją z rąk śmierci, Jan Kasper Bäuerle powziął nieodwołalną decyzję: z córką i wnuczkiem wróci do Ameryki. I na tym samym statku niemieckim „Braunschweig“, który przed paru laty przywiózł go, radosnego, do ojczyzny, „ostatni cywil“, smutny i chmurny, opuszcza ją ponownie i ostatecznie — podczas gdy tłumy w jego rodzinnym mieście szaleją na wieść, że kanclerzem Rzeszy został Adolf Hitler.

Autor zdaje się uważać za najinteligentniejszego wśród przywódców hitlerowskiej młodzieży w mieście Siebenwasser sekretarza burmistrza, dra Kalahne. Ale jest to błąd ze strony Glaesera. Inteligentniejszy od tego kuternogi-karierowicza jest niewątpliwie Hans Diefenbach, mniej sprytny i mniej bezwzględny, lecz o ileż głębszy! On to — a nie Kalahne, napisał w swym wypracowaniu maturalnym na temat „Szturm na Langemarck czyli święta ofiara całego pokolenia“, takie myśli:

„... i dlatego dziwny to widok, że dopiero wobec śmierci ujawnia się cała moralna wielkość niemieckiego człowieka. Pomimo bezprzykładnego heroizmu tych zdarzeń mamy tu w gruncie rzeczy coś nienaturalnego. Gdyby nam się kiedyś udało tak żyć, jak potrafimy umierać, to dopiero wówczas, zdaje mi się, osiągnęlibyśmy prawdziwą wielkość moralną. Narzuca nam się tu niebezpieczna myśl, że demon samoofiarowania, decydujący o naszej istocie, jest tylko straszliwym odwróceniem pewnego braku, a mianowicie, że życia naszego nie umiemy kształtować według praw rozsądku i powszechnego ładu“.

Takie myśli, obrażające ideał „integralnego bohaterstwa“, starał się wytępić u swego młodego przyjaciela Gerhart Traeger, oficer, organizator szturmówki w Siebenwasser, fanatyk, głoszący młodzieży, że „Niema już żadnego życia prywatnego. Jest tylko ślepe posłuszeństwo“. Życie prywatne w służbie idei dopuszczał Traeger tylko w jednej postaci: związku erotycznego z mężczyzną, bzdurząc przytem wzniośle, iż taka miłość „była zawsze w epokach wielkiej siły przywilejem najlepszych“. Oszołomiony autorytetem swego mistrza — pederasty, Hans uległ mu, zanim poznał przypadkowo Irenę Bäuerle, która wyprostowała swym pojawieniem się chwilową dewiację normalnego życia popędowego młodzieńca.

Wprowadzenie na scenę ruchu narodowo - socjalistycznego wpływowej postaci tego oficera i dyskrecja, z jaką autor potraktował nawiązanie i rozwiązanie intymnego stosunku między nim a Hansem, dowodzi, że Glaeser nie pominął żadnego elementu w przedstawieniu narodzin i rozwoju hitleryzmu, a zarazem okazał umiar artystyczny w poruszaniu drażliwego przedmiotu.

Traeger odegrał mimowoli złowrogą rolę w losach Diefenbacha. Gdy w przeddzień objęcia władzy przez wodza otrzymał wysokie stanowisko w Monachium i jako mąż zaufania partii miał przeprowadzić rewizję kasy

OTTO BAUER

W Paryżu, na emigracji, zmarł Otto Bauer, wódz socjalizmu austriackiego, jedna z najświetniejszych głów międzynarodowego ruchu socjalistycznego, jedna z czołowych postaci obozu demokracji europejskiej.

Nie naszą rzeczą jest oceniać wkład, jaki Zmarły wniósł do skarbnicy myśli socjalistycznej. Ale chcemy stwierdzić, że śmierć Ottona Bauera jest wielką, niepowetowaną stratą całego, zarówno socjalistycznego, jak i niesocjalistycznego ruchu demokratycznego Europy.

Ten bojownik i czołowy myśliciel Międzynarodówki Socjalistycznej potrafił zrozumieć, że w chwili, gdy fala faszystowskiego barbarzyństwa zalewa nasz kontynent, trzeba sojuszu, trzeba jak najściślejszego porozumienia socjalistów, demokratów i katolików, trzeba porozumienia wszystkich sił demokracji i humanizmu. Ten humanista i pacyfista rozumiał, że zbrojną pięść faszyzmu złamie tylko siła jego przeciwników, głosił przez ostatnie lata swego życia nieustępliwy opór wobec agresji totalistycznej.

Toteż u jego grobu staje, okryta żałobą, cała demokracja europejska.

partyjnej w Siebenwasser, zasłużeni członkowie miejscowej grupy brunatnych koszul, draby czerpiące z tej kasy na swe całkiem prywatne potrzeby, sekretarz poczty Dern i geometra Hungrich, chcą skompromitować niepożądanego rewizora. Kupiony przez nich za kilkaset marek szubrawczyna i pijak, młody dziennikarz Schickedanz podstępnie wykrada Diefenbachowi listy Traegera do niego i zanosi je redaktorowi socjal-demokratycznego „Prawa ludu".

Nazajutrz na pierwszej kolumnie gazety ukazuje się artykuł z soczystymi „mankietami":

Z brunatnego bagna.
Prawdziwe oblicze odnowicieli narodu.
„Żebyś mi nie pachniał dziewczynami..."
Listy i fakty.

Zdruzgotany tymi rewelacjami Diefenbach wraca do domu i zabija się.

Traegerowi skandal z pewnością nie zaszkodzi w dalszej karierze. Zbyt to cenny dla partii organizator ruchu i komentator ideologii hitlerowskiej. Obok marginesowych życzeń natury erotycznej (patrz trzeci „mankiet") są przecie w jego listach do młodego przyjaciela i ucznia takie radykalne kompresy na wszelkie wątpliwości, jątrzące umysł inteligentnego chłopca: „Chrześcijański Bóg poległ pod Verdun... On zwracał się zresztą zawsze tylko do jednostki, a jednostka wtedy właśnie umarła. ...Z całej tej fałszywej moralizny równości, ze zniszczenia wszystkiego osobistego zrodziła się nowa religia. Święta wiara w rasę i we wspólnotę narodową. Jej służymy".

Gdyby łajdactwo Derna się wykryło, nie zmniejszyłoby to wpływów tego b. feldfebla, marzącego o zaszczytach w nowym państwie, kochanka matki Diefenbacha, wdowy po kapitanie poległym pod Verdun, chama, brutala i złodzieja partyjnych pieniędzy, chorążego szturmówki w Siebenwasser. Traeger go nie „wykończy". Toć mówi do Hansa, gdy chłopak wściekł się na wiadomość o stosunku łączącym jego matkę z Dernem: „To świnia. O tym wiedzą i w Monachium. Ale znają jego wpływ na pewne odłamy ludności. Tam nie są wybredni. Potrzeba nam mas, wszystko jedno w jaki sposób pozyskanych. Choćby je dla nas hipnotyzowała świnia".

Jaka jest rola tej świni, według informacyj najbardziej miarodajnych — szefa organizacji szturmówek w Siebenwasser?

„To pijak — mówi Traeger, — mściwy, nieokrzesany człowiek, megalomański drab, ale wodzowi wierny jak pies. Lecz istnieje jeszcze coś, co doprowadza go do wściekłości, ale zarazem czyni go nietykalnym. Wiesz przecie, jak odzywa się o Żydach. To już nie antysemityzm, jaki uprawiać musimy, to ciężka mania prześladowcza. ...Wierzy w mord rytualny. Od kilku tygodni wywodzi przy każdej sposobności, że hańba 1918 roku to właściwie lustmord, jakiego Żyd dopuścił się na narodzie niemieckim... Dla towarzysza partyjnego Derna Żydzi są dzisiaj tym, czym przed trzema stuleciami były czarownice... To oddziaływa specjalnie na kobiety... I to właśnie spotkało i twoją matkę".

Draniowaty Schickedanz przy kieliszku widzi jasno, dokąd prowadzą bezrobotne pokolenie młodzieży ci, co po jej karkach wspinają się po słodkie berło władzy: „Wiej stąd! (woła do Hansa) Wiej z tego kraju! Bäuerle ma tam w Ameryce, jeszcze fabryki. Czego tu szukasz? Najprzód podsuwają nam pod nos trochę socjalizmu, żeby młodzieży zapachniało i żeby powstała, ale wkońcu stary feldfebel da nam znowu kopniaka w d...!"
Tak wyglądają *sidła nowego germańskiego mitu.* A właściwie: odrodzonego starego.

I sam Ernst Glaeser nie zdołał wyrwać z duszy pewnych delikatnych włókien, z tym mitem go wiążących, tajnych, uczuciowych włókien...

Inaczej jakże zrozumieć słowa autora na ostatniej karcie książki: „Tak jest, naród się przebudził, ale człowiek przepadł"...

Gdyśmy oczekiwali innych: „Naród dał się zahypnotyzować mitowi o „Herrenvolku" — i człowiek przepadł".

To jest ideologiczna pięta achillesowa książki o niemieckim „ostatnim cywilu", o niemieckim demokracie!

Ale, że jest to powieść, możemy postawić na pierwszym miejscu jej niepospolite walory literackie: jędrny styl i barwny, giętki język, bogactwo typów, doskonałą plastykę figur, żywość i obfitość akcji, umiejętność stopniowania dynamiki dramatycznej w scenach zbiorowych (kapitalna scena nabycia dóbr Weissenfels od półwariatki panny Fabricus, lub zajście antysemickie, wywołane przez brunatne koszule na święcie winobrania u Bäuerlego). Miałbym tylko do zarzucenia autorowi niewyzyskanie (czyżby w imię obowiązującej „surowości" życia?) motywów erotycznych w przedstawieniu miłości Hansa i Ireny, traktowanej z jakąś germańską, pragermańską — chciałoby się powiedzieć „nibelungowską" — sumarycznością, przeskakującą w naiwny sentymentalizm (z lubością opisane przez autora, okropne w smaku malunki Hansa na kołysce dla oczekiwanego dziecka).

Ale może to tylko ja jestem zepsuty trzeźwą swobodą Francuzów, gdy opisują miłosne sprawy, nie w eposie bohaterskim — czym „Ostatni cywil" przecie nie jest, — lecz w realistycznej powieści.

W każdym razie, artystyczna strona powieści Glaesera jest wysokiej klasy. Ocenić ją należycie może czytelnik polski dzięki wybornemu przekładowi Pawła Hulki - Laskowskiego. Utalentowany tłumacz włożył, widać to, wiele trudu w swą pracę i osiągnął rezultat zgoła pierwszorzędny.

WACŁAW ROGOWICZ.

Trwamy w impasie

Trudności polityczne mogą nawiedzić każdy obóz, każde stronnictwo. Kto w takiej chwili czuje za sobą poparcie w społeczeństwie, kto wie, że istotnie reprezentuje w kraju coś więcej oprócz administracji, i nielicznej, zainteresowanej materialnie klienteli, ten w obliczu trudności wystąpi z śmiałym i uczciwym programem działania, ten odwoła się do narodu i wezwie go, by zabrał głos i oświadczył, jak zapatruje się na sytuację i jakie widzi drogi wyjścia. W takim wypadku nie może być mowy o impasie.

Oczywiście na takie przeciwstawienie się trudnościom nie może sobie pozwolić ugrupowanie zupełnie osamotnione w społeczeństwie i pozbawione popularności, ugrupowanie o charakterze otwarcie „elitarnym", które dobrze wie, jaką odpowiedź otrzymało by od obywateli, powołanych do swobodnego wypowiedzenia swej opinii. Takie ugrupowanie wi-

dzi jedynie możliwe wyjście z impasu w jeszcze jednym... przegrupowaniu.

W ustroju demokratycznym walka polityczna między wielkimi odłamami narodu toczy się na tle istotnych, głębokich różnic ideowych — o zwycięstwo takiego lub innego programu społeczno-politycznego, odpowiadającego potrzebom, poglądom i dążeniom milionowych rzecz ludności. W ustroju antydemokratycznym konflikty rozgrywają się wewnątrz szczuplutkiej elity o taką lub inną koncepcję przegrupowania w łonie tego samego ugrupowania. Naród stoi poza nawiasem tego wszystkiego, bo i elita stoi poza narodem. Ale w takiej sytuacji każda najskromniejsza próba przegrupowania w łonie ugrupowania nabiera w oczach elity i jej klientów znaczenia wręcz kosmicznego. A liczna kompania usłużnych kibiców, lub tylko żądnych sensacji gapiów rozdmuchuje takie wydarzenie do olbrzymich rozmiarów i rozbębnia je wśród zwyczajnych obywateli, którzy i nie wiele z tego rozumieją i jeszcze mniej się tym wszystkim interesują.

Tak było właśnie z wyborem płk. Sławka na marszałka Sejmu. Fakt, który jest tylko jaskrawym potwierdzeniem całkowitej niemożności wyjścia z impasu, potraktowano z wielu stron jako niezwykle przełomowe wydarzenie, przyczem różni różnie sobie tę sensację interpretowali. Czy jest głębsza różnica między postawą polityczną płk. Sławka, a programem Ozonu? Niewątpliwie jest. Nowy marszałek Sejmu reprezentuje to, co bardzo trafnie nazwano totalizmem państwowym: autorytatywny system rządów aparatowo-biurokratycznych, które nawet nie ubiegają się o poparcie społeczeństwa, czyli tzw. popularnie bazę masową. Ozon przeciwnie marzy o takiej bazie masowej, chciał by naśladować pokrewne ruchy na Zachodzie i Południu, chciał by odebrać Stronnictwu Narodowemu jego ciągle jeszcze liczną owczarnię wyznawców i entuzjastów. I dlatego Ozon wystąpił na arenę z całą znaną ideologią i wszystkimi akcesoriami ruchów totalnych, choć wciąż jeszcze bez zastępów zwolenników. Płk. Sławek natomiast uważa, że za całą ideologię starczy „szaremu" obywatelowi umiejętność skutecznego słuchania administracji. To są różnice—ale tylko to. Nic więcej. Dwie odmiany antydemokratycznej, totalistycznej, autorytatywnej i elitarnej ideologii — jednakowo obce potrzebom narodu i państwa. Tymczasem klienci i kibice zaczęli podkreślać różnice, zapominając o tym, co było, jest i pozostanie wspólnym. Kiwano domyślnie głowami wobec faktu, że kandydaturę, płk. Sławka zgłosił gen. Żeligowski, rozważano głęboką wymowę kolejności wizyt składanych przez nowego marszałka Sejmu itd.

W wileńskim „Słowie" zadzierżysty archeolog uderzył w wielką fanfarę triumfu: „Od wyboru Sławka na marszałka Sejmu wolno oczekiwać, że z tej strony zacznie się odrodzenie wewnętrzne, wypływające z sumień ludzkich. Droga to powolna i długa, lecz jedynie wiodąca do celu". A lwowska „Chwila' krzyknęła w radosnym uniesieniu: „Jego męskiej, rycerskiej postaci, uosabiającej wierność i konsekwencję, brakło w życiu politycznym państwa". Dość inteligentnie i w gruncie rzeczy trafnie pisał organ totalizmu państwowego „Zaczyn", że nie pora dziś, że nie stać „nas" na tworzenie partii totalnej z rzeczywistą bazą masową w społeczeństwie...

Opinię obozu demokratycznego o nowym marszałku wypowiedział „Zielony Sztandar" w bardzo zwięzłej charakterystyce: „O tym, jaką rolę odgrywał płk. Sławek po tzw. przewrocie majowym, nie potrzeba rozpisywać się zbyt szeroko. Wystarczy przypomnieć, że był kilkakrotnie premierem, między innymi w okresie Brześcia i wyborów brzeskich, był prezesem sławetnego BBWR, był współtwórcą obecnej konstytucji, autorem pomysłów „elitarnych", zmierzających do wskrzeszenia szlachetczyzny w Polsce, był autorem obowiązującej obecnie ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu, był wreszcie tym, który jako premier przeprowadzał ostatnie wybory do Sejmu — jak wiadomo przez wszystkie stronnictwa opozycyjne zbojokotowane".

Ucieszyli się bardzo nowym marszałkiem konserwatyści, zwłaszcza, że Naprawa wystawiając demonstracyjnie własnego kandydata, przezornie uchyliła się od odpowiedzialności za linię polityczną płk. Sławka. Wypisano przy tej okazji sporo nekrologów dwom inym pułkownikom, choć ideologia płk. Koca obowiązuje w Ozonie w całej rozciągłości, a jednocześnie trudno wierzyć, żeby płk. Miedziński nie znalazł się w końcu jednak wewnątrz każdej z wielu możliwych konsolidacyj, żeby nie popłynął po wierzchu każdego nurtu, który w danej chwili okaże się głównym nurtem sanacji.

Ale klienci i kibice nie tyle może sami zapomnieli, ile raczej chcą, żeby społeczeństwo zapomniało o jednej, ciągle aktualnej, naczelnej prawdzie naszego życia politycznego: wyjście z impasu znaleźć można jedynie w przywróceniu ustroju demokratyczno-parlamentarnego, a pierwszym krokiem w tym kierunku musi być rozwiązanie obecnych izb i rozpisanie nowych, uczciwych i swobodnych wyborów na podstawie pięcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej. Ten system, w którym obecnie się znajdujemy — oznacza dalsze trwanie w impasie, oznacza uwiecznienie impasu. A kraj nie chce, bo nie może żyć w impasie. Dobro Rzeczypospolitej nie jest bowiem identyczne z pomyślnością elity.

ZYGMUNT NAŁĘCZ.

OD WYDAWNICTWA

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

Od Wydawnictwa

PROSIMY
O NADESŁANIE
PRZEDPŁATY
ZA KWARTAŁ III

LISTY DO REDAKCJI.

Od Dra Aleksandra Kosa otrzymaliśmy list w sprawie głośnego wiersza Leona Pasternaka. Podzielamy zasadnicze stanowiska Dra Kosa ale wobec osobliwych okoliczności sprawy, wstrzymujemy się od estetycznej i artystycznej oceny wiersza. **Epoka.**

Szanowny Panie Redaktorze!

Obskuranci z pod wszystkich znaków uznali „Pieśń o shańbieniu rasy" Pasternaka za obrazę Matki Polki. Na skutek ostrej nagonki ze strony prasy brukowej Pasternak, jak wiadomo został zesłany do Berezy, a jego wiersz uległ konfiskacie. Dodatkowo obciążono poetę zbrodnią komunizmu, co nie jest trudnym w czasach, gdy każdy objaw niezależnej myśli społecznej, nawet ze strony ludzi należących do ugrupowań stojących na gruncie chrześcijańskim, nosi etykietę żydo-komuny.

Przyznaję sobie przede wszystkim prawo do zabierania publicznie głosu w obronie Pasternaka w dwóch powodów. Jestem polakiem - chrześcijaninem, nieskażonym nawet jedną kroplą krwi „niearyjskiej", po drugie zaś od dziecka wpojono we mnie szacunek dla tradycji.

Czytałem „Pieśń o shańbieniu rasy" kilkakrotnie i w żaden sposób nie mogłem się w niej dopatrzyć haniebnej obrazy „Matki - Polki, co skłoniło władze do zastosowania wobec Pasternaka ostrych represji. „Pieśń o shańbieniu rasy" zrozumiałem wyłącznie jako drwinę przede wszystkim z naszych rodzimych rasistów pośród których tak ważną rolę odgrywają dzisiaj... mieszańcy polsko-żydowscy. (Podkreślam, że to właśnie może być argumentem dla propagatorów antysemityzmu w Polsce).

Pasternak obarcza żyda hańbiącego rasę (Rassenschande) przywarami znanymi dobrze wszystkim czytelnikom lub wielbicielem autora „Mein Kampf". To jest pierwsza oczywista drwina z argumentów, którymi obficie operują dzisiaj szermierze judofobii u nas i na blizkim zachodzie. Ale poeta przeciwstawia nikczemnemu semicie, jak to wynika z treści wiersza, ze szczególną przyjemnością dopuszczającemu się „grandy rasowej" słowiańskie dziewczę o chabrowych oczach i złotych włosach. Dziewczę to jest przedstawicielem szlachetnej rasy Arjów. — Drwina druga, oczywista dla każdego wykształconego człowieka. Rasa aryjska nie istnieje. Znakomity filolog Maks Müller, już w roku 1888-ym pisał: „W moim pojęciu etnolog, który mówi o rasie aryjskiej jest takim samym przestępcą, jak filolog, który mówiłby o słowniku długogłowym lub gramatyce krótkogłowej".

„Matka-Polka" — określenie użyte przez Pasternaka, do białej gorączki doprowadziło naszych rasistów obarczonych wyraźnym kompleksem niższości wobec semity z „kaprawymi oczami".

Czyż samo użycie tego określenia w satyrycznym i dowcipnym wierszyku może stanowić obrazę uczuć narodowych? Tak należałoby sądzić, biorąc pod uwagę interpretację prasy brukowej, która nie zdobyła się nawet na jakieś rozsądne uzasadnienie swego stanowiska w sprawie „Pieśni o shańbieniu rasy" Pasternaka. Objawem głupoty niezwykłej i zacietrzewienia jest przypuszczenie, że człowiek wyznający odmienną religię, przez stosunek płciowy z Polką -chrześcijanką, może obniżyć jej godność lub odebrać jej wysokie walory jako przyszłej matrony.

Niech to udowodnią ci którzy tak sądzą! — Czekam.

Jeśli twierdzą, że cnota kobiety jest umiejscowiona poniżej pępka to winszuję im takiego poglądu. W ten sposób dopuszczają się naprawdę zniewagi kobiety Polki. Czas skończyć z patologią!

Gdynia *Dr A. KŁOS.*

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5079 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.